Nr. 2. Poznań, niedziela 12-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

O naszych konkursach.

Kto śledzi uważnie ruch umysłowy w dzielnicy naszej, powinien przyjść do przekonania, iż w ostatnich latach to i owo się ku lepszemu zmieniło. Widać często dobre chęci i zakusy, — przeprowadzenie ich tylko pozostawia niejedno do życzenia. Dla tego za obowiązek i zadanie nasze uważać musimy, zwracać w tym kierunku uwagę społeczeństwa i służyć publiczności radą, gdzie tego okazuje się potrzeba, lub też podejmować dyskusyę w celu bliższego wyjaśnienia sprawy. Poruszaliśmy w piśmie naszem już kilkakrotnie kwestyę publicznych konkursów jako środka używanego u narodów cywilizowanych dla uzyskania liczniejszego zastępu rywalizujących pracowników przy rozwiązaniu zadań literackiej lub artystycznej natury; dziś zaś chcielibyśmy zastanowić się nad tem, co w ostatnim czasie u nas w tym kierunku zdziałano lub też zdziałać zamierzono. Ze swej strony i my rozpisaliśmy konkurs na dzieło pamiątkowe o Karolu Marcinkowskim i chętnie powitalibyśmy dyskusyę, mogącą nam wykazać, czy i o ile społeczeństwo solidaryzuje się z zamysłami naszemi. Jako coś charakteryzującego ustrój naszych stosunków podnieść tu musimy, że kiedy o rozpisanym przez nas konkursie prawie wszystkie pisma polskie po za granicami Księstwa umieściły jednorazowe lub kilkakrotne notatki i wyrazy zachęty, jeden „Dziennik“ i „Kuryer Poznański“ uważały za stosowne w tej sprawie grobowe zachować milczenie.

Z przyjemnością wyczytaliśmy na początku zeszłego roku ogłoszenie, iż główny zarząd związku naszych towarzystw przemysłowych rozpisał konkurs na broszurkę, mającą dać pogląd na rozwój cechów naszych ze względu na nowsze prawodawstwo cechowe. Zadanie to było wdzięczne, ale rozpisanie konkursu — pomijając stosunkowo za nizką premię i termin do nadsyłania broszur za krótki — było po części o tyle niejasne, iż nie wynikało z ogłoszenia, kto sądzić miał o wartości prac nadsyłanych; gdyby bowiem wszyscy podpisani pod ogłoszeniem konkursu członkowie komitetu o pracach sąd wydawać mieli, to — pomijając już inne skrupuły — liczba ich niewątpliwie byłaby za wielką. Wynik takiego rozpisania pozostał dotąd również niejasnym, gdyż dalszych wiadomości o tym konkursie nie wyczytaliśmy w pismach publicznych.

Drugiego konkursu potrzebę uznało w końcu września tutejsze towarzystwo t. zw. starych przemysłowców, chcąc w ten sposób uzyskać pracę poglądową pod tyt. „Wystawa poznańska a nasz przemysł i handel“. Jako cel wydania takiej broszury podano „potrzebę poznania dodatnich i ujemnych stron naszego przemysłu i objaśnienie szerszej publiczności, gdzie w poszczególnych gałęziach przemysłu i handlu może potrzeby swoje załatwiać“. Konkurs ogłoszono na początku października 1895 r. a termin nadsyłania broszur naznaczono na 15 listopada tegoż roku w zamiarze drukowania broszury w 10,000 egzemplarzy jako podarku gwiazdkowego! Dla autora najlepszej pracy mającej wynosić 4—6 arkuszy wyznaczono 200 marek (!) honoraryum, wykluczając go od wszelkiego współudziału w zyskach z tak licznie ukazać się mających egzemplarzy. „Jury składać się miało z członków dyrekcyi Towarzystwa i kooptowanych przez nią sędziów.“ Pomiędzy innemi żądano, aby broszura zawierała nietylko skorowidz wystawców Polaków, ale i „wykaz znaczniejszych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych w Poznaniu, które udziału we wystawie nie wzięły“.

Wobec takich warunków był rezultat konkursu do przewidzenia; nikt w konkursie nie wziął udziału, do czego przyczyniło się niezawodnie i to, że dyrekcya towarzystwa, składająca się głównie z kupców i przemysłowców, aż do terminu nadsyłania broszur ani składu kooptowanych przez siebie sędziów nie ogłosiła i, o ile słyszeliśmy, aż do dnia 15 listopada wcale ich nie obrała. Lubo przeciwko takiego rodzaju konkursowi odezwały się zaraz wobec miarodawczych osobistości głosy krytyki, opierające się na zasadach przyjętych ogólnie przy konkursach, uwzględnić ich nie raczono; wynik zaś okazał, że wątpliwości wyrażone były nie bez podstawy. Streścimy je tutaj pokrótce.

Tematu wybranego nie można nazwać łatwym; wymaga on bowiem wielkiej znajomości stosunków poznańskich, dokładnej, na dłuższych studyach opartej znajomości wystawy naszej, dalej sporo zmysłu krytycznego i znajomości zawodowej w rożnych kierunkach. Ogłosiwszy to zadanie na konkurs *już po zamknięciu* wystawy, skazało poniekąd Towarzystwo przemysłowe autorów, nie mających wystarczających zapisków, na czerpanie materyału ze sprawozdań o wystawie, ogłaszanych w gazetach codziennych, które często grzeszyły samochwalstwem lub reklamą. Wobec takich trudności do odpowiedniego opracowania podobnej broszury mogłoby się z widokami powodzenia zabrać i u nas bardzo mało osób fachowych. Żądanie nietylko ścisłego zestawienia nazwisk wystawców polskich lecz i podania tych firm poznańskich, które w wystawie udziału *nie* brały, uważamy za zbyt daleko sięgające: naszem zdaniem byłby to materyał surowy, któryby Towarzystwo Przemysłowe przez obesłanie kwestyonaryusza po tutejszych firmach łatwiej wydobyć mogło, aniżeli pracujący nad broszurą autor-jednostka. Po co niepotrzebnie wykonywać tę statystykę konkursową przez kilka osób równocześnie, kiedy jednorazowe zestawienie tego materyału zupełnie wystarcza! Kto chce rozpisywać konkursy, nie powinien wszystkiego zostawiać autorom, lecz ze swej strony przygotować należycie wszelkie prace przedwstępne, jeżeli konkurs nie ma być bezowocnym.

Ważną rzeczą dla udania się konkursu jest wybór jury i wczesne ogłoszenie nazwisk sędziów konkursowych; ich bowiem nazwiska stanowią rękojmię, że konkurs bezparcyalnie i prawidłowo podług własciwej wartości prac rozstrzygniętym zostanie. Dlatego pomiędzy członkami jury powinna być większa część rzeczywistych znawców; tym też należy przedłożyć do oceny program i warunki konkursu jeszcze *przed* ogłoszeniem, a zmiany przez nich proponowane powinny o ile możności znaleźć uwzględnienie. O możliwości bowiem przeprowadzenia jakiegoś programu wytrawni znawcy *inny* sąd wydać mogą, aniżeli rozpisujący konkurs, którzy częstokroć po raz pierwszy się do tego rodzaju pracy zabierają. Koszta połączone ze sprowadzeniem znawców, choćby ze stron dalszych, gdzie tego potrzeba, nie powinny zrażać rozpisujących konkurs, gdyż nieraz opłacają się one dobrze wskutek ulepszeń programu, podyktowanych radą fachową. Dalej mogą ci znawcy ocenić, czy odpowiednim jest stosunek wyznaczonej premii do żądanej przez rozpisujących pracy literackiej lub artystycznej, czy też przy zbyt nizkiej nagrodzie należy może uwieńczone dzieło przez widoki współudziału w zyskach, z rozsprzedaży wynikających, korzystniej wynagrodzić; zwykle pra-

wo publikacyi lub innego sposobu zużycia nadesłanej pracy konkursowej pozostaje przy autorze, które mu zupełnie odbierać byłoby niesłusznem.

Również w sprawie oznaczenia terminu, do którego praca konkursowa z uwzględnieniem różnych okoliczności może być snadnie wykończoną, rada doświadczonych jurorów bywa cenną wskazówką. Wyznaczenie terminu zbyt krótkiego nie doprowadza zwykle do rezultatu, jak to się przy konkursie Towarzystwa Przemysłowego okazało, którego plon konkursowy równa się zeru. O nagrodę nikt się nie pokusił. Na tem zamykamy uwagi nasze, pomijając niejeden szczegół, który prócz motywów powyżej scharakteryzowanych, spowodował fiasko zupełne konkursu Tow. Przemysłowego, — a fiasko to, mimo przedłużenia terminu do 15 lutego rb. i mimo ostatecznej publikacyi nazwisk jurorów, w danych okolicznościach łatwo powtórzyć się może. Przytoczymy tylko pokrótce — si parva magnis comparare licet — jak w podobnym razie postąpiono sobie po zamknięciu przed dwoma laty wystawy lwowskiej.

I tam uznano potrzebę pamiętnika, który „ma zdać sprawę z wyników wystawy we wszystkich jej szczegółach, ma utrwalić za pomocą przystępnej dla ogółu publikacyi wszystko to, coby rychło ulotnić się mogło z pamięci zwiedzających wystawę, ma podać do wiadomości, w jakich gałęziach produkcyi i w jakim kierunku poczyniono postępy, jakiemi siłami te gałęzie produkcyi rozporządzają, jakie luki są do wypełnienia, jakie pola dla ekonomicznej przedsiębiorczości do wyzyskania“. Publikacyę taką uznane we Lwowie za przekraczającą siłę jednej osobistości, a podjęła się jej, rozdzielając prace pomiędzy różnych specyalistów autonomiczna władza krajowa kosztem funduszu krajowego, z którego wyznaczono 15000 złr.! Dzieło całe obejmować ma około 200 arkuszy druku i zaopatrzone będzie licznemi ilustracyami.

A u nas?.... Dobre chęci i zamiary, które swoją drogą zupełnie uznajemy, nie wystarczają; i na tem polu trzeba więcej znajomości rzeczy i uwzględnienia zwyczajów, gdzieindziej już przyjętych.

To, cośmy o powyższych 2 literackich konkursach powiedzieli, możnaby z małemi zmianami powtórzyć i o architektonicznym konkursie, w porodzie jeszcze będącym, na budowę kościoła w Jeżycach pod Poznaniem. Nie wchodzimy w to, o ile konkurs taki dla kościoła przedmiejskiego, jako nieprzedstawiającego poważniejszych trudności do rozwiązania jest w naszych stosunkach uzasadnionym, — wyobrażamy sobie, że trudności te polegać będą głównie na wystawieniu odpowiedniego rozmiarami, a nie kosztownego przybytku Bożego. Samą myśl konkursu zaś uważamy już o tyle za szczęśliwą, iż konkurs taki usuwa przypuszczenia, że protekcyą cieszyć się będą obce nam żywioły, a da architektom naszym sposobność okazania, co własnemi siłami zdziałać potrafią. Wobec tego, iż na kościół ten pod wezwaniem Najsłod. Imienia Jezus grosz publiczny zbiera się z naszych kieszeni, dalej, że parafia ma się jeszcze znacznie na przyszłość zadłużyć, uważamy rozpisanie konkursu dla architektów — katolików za rzecz jedynie naturalną i to w języku, jaki jest językiem większości dozoru kościelnego. Jeźli zaś będą uwzględnione zasady, przyjęte dla publicznych konkursów pomiędzy architektami w Niemczech, to przy poparciu, jakiego ta sprawa u ks. arcybiskupa Stablewskiego doznaje, można mieć nadzieję, iż kościół w Jeżycach samodzielnie, o naszych własnych siłach zbudowany będzie. Spodziewamy się, że osoby zajmujące się tym konkursem odpowiedniej nim pokierują, niż inicyatorzy dwóch powyżej scharakteryzowanych literackich konkursów.

***

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

* *Konieczność reform na Szląsku cieszyńskim.* Korespondent cieszyński „Przeglądu Wszechpolskiego“ pisze w nr. 22:

Pisano już nieraz i dużo o zniemczeniu miast szląskich, o tem naprzykład, że w takim Cieszynie ludność polska absolutnie po polsku nie czyta, chociaż „Czytelnia ludowa“ posiada „piękny i bogaty księgozbiór“, zawierający co najmniej 20 tysięcy tomów itd. Otóż w początku września rb. założono tu pod firmą politycznego stowarzyszenia „Związku szląskich katolików“ bezpłatną wypożyczalnię książek polskich, z której ludność, i to nie tylko katolicka zaczęła skwapliwie korzystać. Wypożyczalnia ta coraz lepiej się rozwijała, książki zewsząd napływały i zdawało się, że nareszcie Cieszyn doczeka się poważnej instytucyi, oddającej rzetelne usługi sprawie narodowej. Lecz jest w Cieszynie pewna grupa ludzi wśród t. zw. „narodowców“, trzymająca w swoich rękach „Czytelnię ludową“, Tow. „Domu narodowego“ itd., która wprost wrogo odnosi się do wszelkich objawów życia, mających istotną doniosłość społeczno-narodową. Owi to panowie śledzili bacznie rozwój tej wypożyczalni i zapewne przez zawiść, że sami nic w tym kierunku nie robią, chociaż mają ogromne środki, ofiarowane przez całą Polskę, postanowili młodocianej instytucyi kark skręcić. I stała się rzecz ciekawa, ale i bardzo smutna. Ksiądz Świeży, prezes „związku szląskich katolików“, człowiek zapewne najlepszych chęci, ale dający się tym panom powodować, uległ widocznie podszeptom kliki i w końcu zeszłego miesiąca tak piękne nadzieje rokującą instytucyę kazał zamknąć. Zamknięcie to ma być czasowe, pod pozorem, że właściwie statut „Związku szl. kat.“ nie przewiduje podobnej instytucyi, trzeba więc naprzód statut zmienić, a potem dopiero wypożyczalnię na nowo otworzyć. Dlaczego jednak ks. Świeży dopiero teraz wpadł na tę myśl, że należy statut zmienić? Dlaczego jeszcze w czerwcu, wbrew zdaniu dra Kreisla, adwokata z Jabłonkowa, zapewniał, że statutu zmieniać nie potrzeba, bo według niego „Związek“ ma prawo zakładać czytelnie ludowe, a przecież bezpłatna wypożyczalnia nie jest niczem innem, ale właśnie czytelnią ludową.

Fakta podobne są na porządku dziennym; całego numeru by nie wystarczyło, gdyby chcieć je tutaj wynotować, choćby za przeciąg ostatnich kilku miesięcy. Cóż więc dziwnego, że nawet starostwo

---

2)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(Ciąg dalszy).

Zatrzymałem się jedną nogą na pokładzie, drugą na schodkach, chciałem się cofnąć. Ona była jedną z tych, które dziś najmniej ze wszystkich spotkać chciałem. Stała tam jak wcielenie wszystkiego tego, com poza sobą chciał pozostawić. Delikatnością swych kształtów równa mimozie, przedstawiła mi się jak nić pajęcza, zagradzająca mi drogę. Nie wiedziałem, czy ją przerwać zdołam.

Szedłem nie wiedząc co począć: wrócić, czy zostać? Czy doprawdy była ona czemś, co mnie do życia wiązało, a co porzucić chciałem? Była to Aniela Lindblom. Z bratem jej wiązały mnie serdeczne stosunki, więc często w domu rodziców ich przebywałem. Ojciec jej miał wiejską posiadłość. Nie wiem jak określić stopień mej zażyłości z panną Lindblom. Nie k o c h a l i ś m y się, a w p r z y j a ź ń pomiędzy kobietą a mężczyzną wierzyć nie mogę.

Jeżeli dwie kule napełnione elektrycznością postawimy jedną obok drugiej, to albo złączą się, albo odepchną się wzajemnie. To samo nastąpić musi, gdy się młodzieniec zbliży do kobiety. Odczują fizyczną sympatyą lub antypatyą. Pierwszy przypadek nazwijmy jak chcemy, będzie to zawsze tylko grą słów; chociażby stosunek taki miał nie wiem ile stopni, jedna tylko może zachodzić różnica, różnica w mniejszem lub większem spotęgowaniu się uczuć, a czy się mówi, iż miłość jest zbiornikiem tychże, czy też najwyższym punktem kulminacyjnym — to nie należy do rzeczy. Nigdy nie wymówiliśmy słowa: kocham, — jest to jeden z tych wyrazów, których my — ludzie „nowocześni“ instynktownie boimy się powiedzieć. Nawet flirtu salonowego nie uprawialiśmy: nigdyśmy się nie całowali, nigdy nie zamieniali ani czułych spojrzeń, ani tajemnych uścisnień ręki. Stosunek nasz był całkiem otwartym tak, że świat mógł go osądzić, jak mu się podobało — sąd ten też w rozmaity sposób się utwarzał. Niejedni posądzali nas o coś zdrożnego. My — nie zważając na to — opowiadaliśmy sobie dzieje naszego życia, przędliśmy wspólnie różową nić nadziei, dzieliliśmy się zawodami, myślami, które w ten sposób wracały nam się jako zdwojony kapitał. Zgłębialiśmy ducha naszego wzajemnie.... Źle widzieliśmy w jeszcze gorszem świetle, dobre w lepszem. Spoglądaliśmy na życie z jednego punktu widzenia, — świat w równych przedstawiał nam się kolorach, — jednem słowem: charaktery nasze były jednego pokroju.

Widziałem, jak wydobywszy lornetkę, skierowała ją na Malmö, gdzie dachy błyszczały w jasnej pozłocie słońca, a dym z kominów fabrycznych bił prosto w obłoki. Od roku już nie widziałem panny Anieli: wysoka, wiotka jej postać podziałała na mnie tak przyjemnie jak ulubiona melodya. Od dawna nic o niej nie słyszałem — jedyne, co wiedziałem, było to, że udała się do Szwajcaryi; odgadłem, że prosto z tamtąd do domu powraca. Ale dla czego przypadek dziś właśnie na mojej postawił ją drodze? pytałem siebie z niepojętym niepokojem.

Dwaj zaspani gentelmani nadchodzili z hałasem, panna Aniela obróciła w mą stronę dziecięco małą swą twarzyczkę. Zobaczyłem z przyjemnością, że na mój widok radość ją opromieniła, — podeszła ku mnie:

„Wędrowne ptaki spotykają się w locie do krainy ciepła i słońca!“ zawołała wesoło.

Poczęliśmy wzajemnie opowiadać sobie przeżyte wypadki. Ponieważ na pokładzie zaczynało się chłodno, zeszliśmy do dużego salonu, był on próżnym zupełnie, zasiedliśmy więc na kanapce do poufnego tete à tete. Maszyna pracowała ciężko, ale miarowo, lampy wiszące dzwoniły; w około nas było cicho, spokojnie. Zdawało mi się, że nie na parowcu się znajduję, tylko w domu jej ojca, w jej ładnym budoarze, gdzie — oparty o szezlong — wsłuchuję się w melodyjny jej głos.

Zwykle do maja przesiadywała w Kopenhadze, lub w Sztokholmie, wyraziłem

zaczyna żywioł polski zupełnie ignorować; oto w październiku rb. przed wyborami uzupełniającemi do rady państwa rozesłano wyborcom w Cieszynie kartki wyborcze w języku niemieckim i — czeskim!! To samo oddawna robi urząd pocztowy, a rada gminna nigdy innych nie rozlepia obwieszczeń, tylko niemieckie, jak gdyby wcale Polaków w Cieszynie nie było.

Rzecz dziwna, że tutejsi Polacy, tak blizko stykając się z Czechami, nie nauczyli się od nich, jak należy stawiać kroki na arenie walki o równouprawnienie. Ludność czeska w Cieszynie (około 800 głów) jest wyłącznie napływowa, od lat kilku posiada tu towarzystwo p. t. „Snaha“, (literarni a zabawni klub), od roku już wydaje swoją gazetę „Noviny Tesinske“, które wychodziły dotąd 3 razy na miesiąc, obecnie już są tygodnikiem, podczas gdy nasza „Gwiazdka Cieszyńska“ już jest tygodnikiem od urodzenia t. j. od 1848 roku i dotychczas tak lichym, że pisać o tem przykro. To samo można powiedzieć o innych pisemkach tutejszych, wydawanych przez ewangelików polskich.

Nasi narodowcy chcą wmówić w innych, że marzeniem ich jest stworzyć organ ogólno-polski, wychodzący co najmniej 2 razy tygodniowo, ale gdyby pragnęli szczerze, toby już dawno go mieli, bo i fundusze by się znalazły. Tu przypominam, że panowie ci mają w Tow. „Domu narodowego“ 20,000 złr., z któremi nie wiedzą, co zrobić, bo domu takiego budować napewno nie będą, zresztą on w obecnych warunkach byłby marnotrawstwem nie do darowania, kiedy daleko pilniejsze potrzeby gwałtem wołają o wsparcie. Ale to już taka taktyka, aby projektować i mieć na widoku bardzo odległe plany, a od tego, co można i trzeba zaraz rozpocząć, dyskretnie się usuwać.

Jedyny ratunek dla ludu polskiego na Szląsku cieszyńskim w założeniu niezależnego organu, z człowiekiem wytrawnym i energicznym na czele, któryby nie dał się oplątać siecią intryg, jakie zaraz roztaczają stańczycy z Cieszyna nad każdym nowoprzybyłym rodakiem. Jedyny ratunek w piśmie, któreby broniło dzielnie i odważnie ludu przed uciskiem germanizacyi i wyzyskiem, a zarazem wykazywało na każdym kroku nieszczerość tej koteryi, która od wielu lat mylnie przedstawia stan rzeczy u nas, przez co osłabia naszą odporność na wrogie czynniki i paraliżuje najzacniejsze usiłowania ludzi, pragnących działać w inny skuteczniejszy sposób.

Do rzeczy najpilniejszych należy dalej, założenie księgarni polskiej w Cieszynie, gdzieby ludność polska zaopatrywać się mogła w dobre książki, jakich teraz nabywać nie ma gdzie, bo oprócz księgarń niemieckich istnieje tutaj tylko jakiś Feitzinger, wydający przeważnie nędzną tandetę i za drogie pieniądze. Następnie należałoby raz pomyśleć o założeniu szkółki ludowej z językiem polskim, a przy niej ochronki i ogródka freblowskiego, aby usunąć dziatwę z pod wpływów germanizacyjnych. Ale założywszy instytucye, trzeba ich lepiej strzedz i bronić, aniżeli bronimy dotychczasowych.

Społeczeństwo polskie mogłoby zażądać zwrotu 20,000 złr., przeznaczonych niby na „Dom narodowy“ i z nich odpowiednie sumy na te cele asygnować. A jeżeli nie można tej sumy odzyskać, to przecież jest kwota 10,000 złr., przeznaczona „na potrzeby najpilniejsze Szląska cieszyńskiego“ przez dra Hassewicza z Karlsbadu, a czyż w obecnej chwili jest coś pilniejszego i ważniejszego, niż poważny, niezależny organ polski w Cieszynie? Czcigodny zapisodawca zapewne z całą chęcią przychyli się do tego, jeżli tylko ktoś poważny a bezinteresowny zechce go przekonać. Na założenie takiego pisma, któreby na początek wychodzić mogło 2 razy na tydzień, nie potrzeba znowu tak wiele, sądzę, że jakieś 3 tysiące wystarczyłyby zupełnie.

* * *

W sprawie emigracyi. W obronie Tow. św. Rafała, skompromitowanego w rozprawach Koła polskiego we Wiedniu, takie wypowiada opinie organ emigracyjny, lwowski „Przewodnik handlowo-geograficzny“ (Nr. 10):

Coraz bardziej wzmagająca się emigracya ludu naszego spowodowała wreszcie, iż Koło polskie we Wiedniu, zajęło się na dwóch posiedzeniach kwestyą emigracyjną. Dyskusya wykazała, iż z wyjątkiem posła Wielowiejskiego żaden niemal z posłów nie ma należytych informacyi o całym ruchu wychodźczym, o przyczynach i znaczeniu tegoż, że żaden z nich nie zadał sobie trudu, choćby pobieżnego, przestudyowania warunków wśród jakich odbywa się emigracya i kolonizacya rolnicza. Podobnie jak niemal cała prasa galicyjska tak i posłowie nasi przedstawiają sobie Brazylię jako jednolitą pod względem klimatycznym całość i nie rozróżniają emigracyi zarobkowej na plantacyach (zgubnej dla naszego ludu) od emigracyi rolniczej do południowych Stanów, wedle relacyi naszych sfer urzędowych korzystnej (przy należytej organizacyi) dla wychodźców. Ten brak znajomości rzeczy pp. posłów pod tym względem był powodem, dla czego ci panowie tak pohopnie podnosili wszelkie zarzuty, a nawet potwarcze wieści, rozsiewane przez agentów przeciw Tow. św. Rafała, na którego czele stoją ludzie jak hr. Potulicki, prezes Rady powiatowej gliniańskiej, p. Edward Jędrzejewicz członek Wydziału krajowego, ks. Paweł Sapieha, ks. kanonik Lenkiewicz, ks. prałat Gnatowski, rektor Thulie itd., a których nikt przecież nie posądzi, iżby pragnęli wywołać emigracyę, lub że lekkomyślnie albo w złej wierze działają. Gdyby pp. posłowie dokładnie sprawę tę zbadali lub choćby tylko przeczytali publikacye włoskiego lub niemieckiego Tow. św. Rafała, — byliby się przekonali, że „piekło brazylijskie“ leży właśnie w braku opieki nad wychodźcami i że usuwając tę opiekę, pcha się ludzi w to piekło. Przekonaliby się dalej, jak błogie owoce wydała dla wychodźców opieka Tow. św. Rafała. Wszystkie niemal ekspedycye były wzorowo prowadzone, ani jedna jednostka nie zmarnowała się, wszystkie transporty wychodźców osiadły na roli i dziś już każdy wychodźca znajduje się na własnym gruncie, rozpoczyna uprawę. Sam zaś fakt, że ktoś się opiekuje wychodźtwem sprawił, iż tak agenci jako i sam rząd brazylijski traktowali wychodźców z troskliwością.

—*ski.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Kwestya cukrownicza

na zebraniu nadzwyczajnem Centralnego Towarzystwa rólniczego na W. Ks. Poznańskie.

Ostatnie nadzwyczajne zebranie Centr. Tow. rólniczego na W. Ks. Poznańskie nosiło na sobie piętno życia. Właściwie dodatek *„piętno życia“* wydaje się zbytecznym, a jednak potrzebnym jest koniecznie, gdyż właśnie to zebranie odróżniało się korzystnie od innych dawniejszych, noszących na sobie piętno martwoty. Tym razem zebranie opuściło mgliste tory ogólnych rozpraw, zaczynających się od stereotypowego *„Jak zaradzić“* itd. — a kończące się zawsze albo utopijnemi radami, albo przyznaniem, że jest źle, lecz zaradzić temu nie można. Stąd rozprawy dawniejsze nie uderzały słuchacza ani jędrnością, ani utrafieniem w sedno, przeciwnie mdły ton dyskusyi, owijanie rzeczy, kręcenie się w kółko ogólników, robiło wrażenie pewnej suchości; wydawało się słuchaczowi, iż mówcy braknie przekonania do przedmiotu, o którym mówi, a ci, którzy brali udział w dyskusyi, wywierali wrażenie marjonetek, które nakręcał stary zwyczaj — ukrywający się za słowami: *przecież trzeba coś powiedzieć, aby nie mówiono, że się nic nie robiło.*

Inny obraz przedstawiało ostatnie zebranie; porzucono ton oschły akademicko-teoretycznych odczytów i życie żywem zapulsowało tętnem; mdły ton dyskusyi zastą-

---

więc moje zadziwienie nad tem, że tym razem tak rychło myśli zakopać się na wsi.

Odpowiedziała mi, że bardzo lubi pierwszy początek wiosny — „wiosnę budzącą się! Po długiej zimie, spędzonej w mieście, jest to doprawdy rozkosz prawdziwa, módz swobodnie stąpać po nawpół roztajałej ziemi. Czy może mnie pan sobie wystawić, chodzącą pod gałęziami, które już kiełkować zaczynają, uśmiechającą się do siebie, z rękami w szal otulonemi?...“

— O tak! — zawołałem!

— Gdy po spacerze do domu powracam, zmienia się nagle usposobienie moje. Płaczę nawet czasami — doprawdy płaczę! Ze zmęczenia naturalnie... Wiosna budzi we mnie znużenie i smutek... no., wreszcie nie sama wiosna... może jest tam i inny powód. Najpierw... to tak miło, obejrzeć sobie znów wszystko, co się kochało w dzieciństwie — przypomina pan sobie ciemnobrunatne wzgórze pod modrawym połyskiem niebą, gdzie na pniu jesiona wyryto: „Fleurir — Mourir — Renaître? — Peut — être!“? To wszystko zachwyca najpierw, potem przestaje być nowem i staje się okropnem nawet. — Nie jestem stworzoną na pustelnicę; potrzeba mi ludzi. Wie pan... niekiedy szczęśliwą jestem, gdy służąca z jakiembądź zapytaniem przychodzi do mnie na górę: to przynajmniej głos ludzki! — powraca pan do Kopenhagi? — spytała przerywając opowiadanie.

— Nie!

— Dokąd więc — ale nie uważaj pan tego za prostą ciekawość — dokąd się pan udaje?

— Na wieś.

— Na długo?

— Na zawsze.

— A — cóż znowu?!

— Mówię poważnie. —

— Chce pan zostać wieśniakiem? Pan!

— Wieśniakiem? Cóż Pani określa tem słowem? Czy istotę, którą panująca klasa wystawiła sobie jako przeciwieństwo swego własnego typu, sądząc, że dotąd istnieje? A może rodzaj zwierzęcia, które śpi, je i pracuje jak każde inne zwierzę? Mogę panią zapewnić, że zwierzę takie dziś już nie istnieje; zostało pogrzebane, więc nigdy już się nie zjawi.

— Taki zakątek ziemi musi być pustelnią, pocóż pan do niej ucieka?

— Bynajmniej nie uciekam. Pragnę tylko stworzyć sobie „un milieu“... Pani, panno Anielo, zrozumie mnie może. Od nikogo nie doznałem tyle przyjaźni ile od państwa. A jednak nieraz czułem się intruzem, znoszonym z grzeczności. Zwyczaje wasze w domu, w salonie, przy stole, są dla państwa — że tak powiem — dziedziczne; mnie przedstawiały się jako coś wystudyowanego, uważałem je za zewnętrzną formę... za naklejoną etykietę, która opiewała, że do waszego towarzystwa nie należę. Spotykałem się nieraz z wejrzeniem pełnem zdziwienia, lub z uśmiechem, gdym to lub owo powiedział, lub zrobił. Wmawiałem to tylko może w siebie, zastanawiając się, czym nie postąpił słowem lub uczynkiem przeciw „dobremu tonowi“.. wstyd i gorycz uczuwałem. Nawet pani była dla mnie egzotyczną rośliną, do której zbliżyć się nie śmiałem i nie umiałem. To też nie byłem wobec pani tem, czem są wobec niej mężczyźni waszej sfery i dla tego to poznałaś człowieka, który nazwisko moje nosi, poznałaś go zamaskowanego!... Policzyłaś mnie pani do grona wieśniaków rodzinnej mej ziemi... Oni może będą mnie męczyć, obrażać, obrzydzenie we mnie budzić — pośród nich jednak będę się mógł swobodnie poruszać, bez obawy, że mnie wyśmieją. Nie zatracę tam ani mej „uczoności“ ani form towarzyskich pomimo, że stanę się tam znów wieśniakiem, chociaż nie takim, jakim go sobie pani wyobraża; podróżowałem po obcych krajach — teraz do domu powracam.

Panna Lindblom słuchała mnie z zajęciem, wreszcie rzekła: „Pan masz olbrzymią fantazyę — jesteś człowiekiem sercowym i — dodała z miłym uśmiechem — wielkiem dzieckiem!“

Parowiec zatrzymał się w porcie w Malmo Towarzyszkę moją oczekiwali znajomi, pożegnaliśmy się więc na pokładzie.

— Nie skamieniej pan tam czasem, — zresztą nie spuszczę pana z oczu. Zjawię się, gdy pan najmniej spodziewać się tego będziesz.

— Ucieszę się wtedy bardzo!...

— A jeżeli znajdę pana zniechęconym i zażądam obrachunku?...

— Wtedy, panno Anielo, będzie to głównie wina pani!...

Spojrzała na mnie smutnym, pytającym

biły rozprawy oświetlone jasnemi blaskami krytyki rzeczowej, ostrej, wnikającej w istotę przedmiotu, znikł szablon, a miejsce jego zajęły rozwagi i rozpatrywania z pod najrozmaitszych kątów widzenia.

Dla czego teraz tak było, a dawniej inaczej? Bo znaleziono przedmiot nader żywotny i traktowano go z głębokiem zainteresowaniem i zrozumieniem.

Odstąpiono od zasady zapełnienia czasu długiemi, nużącemi odczytami, które zazwyczaj nie są niczem więcej, jak mniej lub więcej zręcznemi kompilacyami, a czasem po prostu przytaczaniem wyjątków z tego lub owego ekonomisty, z tego lub owego profesora, z tego lub owego słynnego agronoma — teoretyka, zazwyczaj Niemca.

Tym razem cały ten balast agronomiczno-ekonomicznej pseudo-uczoności wrzucono między rupiecie, — ztąd nawa dyskusyi bujała swobodnie a mimo to niepozbawiona pewnego steru i kierunku dążącego prosto do rozwiązania zadania.

Przedmiotem tym, który, rzec można, sprawił przewrót w dotychczasowym sposobie traktowania kwestyi żywotnych na zebraniach Tow Centr. roln., to sprawa nowego projektu cukrowniczego. Już referat p. dr. Mieczkowskiego, krótki, zwięzły, rzucający pełne światło na wady nowej ustawy, musiał obudzić ogólne zainteresowanie. Referent skonstatował w dłuższych wywodach, co tutaj w krótkiem następuje streszczeniu:

Rząd zamierzał przyjść rolnictwu w pomoc, — mianowicie zagrożonemu przemysłowi buraczanemu, a) kontyngentując produkcyę cukru, aby zapobiedz nadprodukcyi, b) podnosząc premię wywozową, aby zwiększyć eksport. I jedno i drugie w formie przez rząd proponowanej chybia celu, i grozi ruiną przemysłowi buraczanemu; kontyngentowaniem produkcyi bowiem podcina się rozwijający przemysł cukrowniczy na Wschodzie, gdyż Wschód głównie ponosi koszta tego niedorzecznego pomysłu. (Bliższe wytłumaczenie znajdzie czytelnik w broszurce p. L. v. G. (Lucyan Grabski) „Betrachtungen über das neue Zuckersteuergesetz“) Dalej z kontyngentowania produkcyi odniesie korzyść tylko zagranica, która natychmiast zajmie lukę powstałą z ograniczenia tutejszej produkcyi, a z biegiem czasu może nawet wyprzeć całkiem cukier niemiecki z rynku światowego. Punkt drugi błyszczacy i ponętny widokami podniesienia premii! lecz blask to fosforyzującego próchna, błędny ognik wiodący wędrowca na zgubne manowce. Wiemy, iż dzisiaj istnieją *jeszcze* premie wywozowe na cukier, które przyczyniają rządowi do 20 miljonów wydatków z ogólnej kasy państwowej. Otóż według nowego projektu premie wywozowe mają być zwiększone do 4 mk. Lecz kto je ma płacić? Nie rząd — bo rząd schowa nawet dawniejsze 20 miljonów do kieszeni, koszta premii wywozowych mają być pokryte przez podatek progresywny, obrotowy i fabryczny, nałożony na cukrownie, — dalej przez podwyższenie podatku konsumcyjnego o 3 mk. na ctr. cukru. Tym sposobem rolnik nic nie płaci, tylko fabryka i konsument, lecz wszystko to *de facto* wypłynie z sakiewki rolnika w postaci zniżonej ceny za buraki. Dalej tym razem premia wywozowa nie będzie miała ożywiającego wpływu na podniesienie ceny za cukier, gdyż o ile więcej się wywiezie, o tyle mniej się zużyje cukru w kraju. Konsumcye bowiem krajową nie tylko spęta w rozwoju, lecz znacznie obniży zwyższenie podatku konsumcyjnego na cukrze.

Po tych wywodach, cóż pozostaje z nowego projektu? Może zasada, na której oparty jest projekt? Zasada, na której opiera się projekt, brzmi wzniośle: ukuto ją w imię obrony słabszego wobec mocniejszego.

Takiemu pojmowaniu kwestyi zaprzeczył p. dr. Szułdrzyński, wywodząc, że zasada, na której projekt spoczywa, jest niemoralną.

I tak jest w istocie. Któż bowiem jest słabszy, a kto mocniejszy?

Ustawa mówi: słabszym jest Zachód i jego małe cukrownie, a silnym jest Wschód i jego wielkie cukrownie. W całej tej argumentacyi jest tyle prawdy, iż rzeczywiście na Zachodzie jest *dużo małych*, a na Wschodzie *kilkadziesiąt dużych* cukrowni. Ilustrował sprawę tę nie bez humoru, charakteryzując znajomość niemieckich rzeczoznawców, a mianowicie profesora-wnioskodawcy Paaschego, p. dr: Witołd Skarzyński, ekonomista wybitny, jasny w wywodach i ostry dyalektyk. Pan *Turno* nie mniej rzeczowo stwierdził, iż cała ustawa warta kosza — ale nie buraczanego. Z zebranych ten i ów dorzucił swoje uwagi trafne, a wszystkie nastrojone na jedną nutę: *ustawa nie jest rolniczą, lecz antyrolniczą.*

Wówczas prezes tow., p. St. hr. Żółtowski, odczytał rezolucyę potępiającą cały projekt, motywując dobitnie, jasno, a nadewszystko słusznie wadliwość ustawy. Zebranie przyklasnęło potępiającej rezolucyi. W rozstrzygającej chwili jednak zabrał głos p. dr. W. Skarzyński, przypominając obecnym zasadę „*pis aller?*“ Z dwojga złego należy wybierać mniejsze złe, należy dać posłom naszym drogę wyjścia, gdyby rząd koniecznie chciał błędną ustawę przeprowadzić. Mówca poleca zatem dodanie uwagi, że gdyby rząd pewne zmiany zaprowadził, (kontengentowanie ad maximum, kontengentowanie areału) w takim razie niechaj posłowie przychylą się do ustawy.

W sprawie tej zabrał powtórnie głos p. hr. St. Żółtowski w obronie pierwotnej rezolucyi, twierdząc, że mniejsze złe, przedstawione przez p. dr. W. Sk., nie jest bynajmniej mniejszem, gdyż mieści w sobie niesprawiedliwość wobec tych którzy w przyszłości mieliby zamiar plantowania buraków. Rozpoczyna się dyskusya argumentowa, ścisła, pomiędzy przewodniczącym p. hr. St. Żółtowskim a p. dr. W. Skarzyńskim. Jest to najwięcej interesujący moment w całym przebiegu obrad. Zebranie sympatyzuje z wywodami p. hr. St. Żółtowskiego, które popiera pan hr. H. Kwilecki, a utwierdza zdanie p. Łubieńskiego z Kiączyna; mimo to ostra, zręczna, zwinna, bystra dyalektyka p. dr. W. Skarzyńskiego działa frapująco; widzimy, że przeciwnik wobec wywodów p. dr. W. Sk. zastanawia się. Pan hr. St. Żółtowski czuje, że w gruncie rzeczy słuszność po jego jest stronie, to samo uczucie mają zebrani, — nie wie tylko nikt stoso-

---

wzrokiem Poczem odeszła prędko, głową śląc pożegnanie.

Kilka godzin później siedziałem w pociągu; wiózł mnie na wieś. Coraz bliżej celu, coraz częściej spotykałem znajome twarze, poznawałem wsie i miasta. Chmury pokrywały widnokrąg. Gdym nareszcie na mojej wysiadł stacyi, tak mi było, jak gdybym wracał z kąpielowego miejsca.. Spokój i cisza dnia wiosennego roztaczały się coraz więcej — w nieskończoność...

IV.

To samo uczucie swobody, jakie nas ogarnia, gdy oswobodzeni z ciężkich trosk, lub wyleczeni z długiej choroby pierwszy raz lekko oddychamy, albo wreszcie, gdy po uciążliwej nudnej podróży powróciliśmy do siebie, nie opuszczało mnie w ciągu całej wiosny, całego lata.

Jesienią kupiłem tę małą posiadłość. Przez długie lata była zupełnie zaniedbaną. Wiesz co za hołota poprzednio mieszkała tutaj. Cała rodzina trudniła się złodziejstwem. Poza szczelnie zaryglowanemi drzwiami snuli plany kradzieży. Zdarzało się nieraz, że jeden z pobliskich sąsiadów widział o północy wóz wyjeżdżający z podwórka, a drugi o brzasku dnia spotykał go powracający... Po takich nocnych spotkaniach rozchodziły się wieści o napadach, kradzieżach koni.. Każdy domyślał się sprawców, lecz nikt nie śmiał wydać złoczyńców. Wreszcie policya w to się wdała, szajkę złapano, a ja na licytacyi własność jej nabyłem.

Niemiłe ogarnęło mnie uczucie, gdym po raz pierwszy przestąpił próg mego nowego domu. Doznawałem wrażenia, jakby poprzednicy moi tutaj jakieś coś po sobie zostawili — co? nie wiedziałem; czułem je jednak instynktem w bezpośredniej bliskości — w dusznem powietrzu, w obdartych tapetach — wszędzie i nigdzie! Małe szyby spoglądały szyderczo i zdawały się przemyśliwać nad tem jak się zemścić za to, że tu się wdarłem; niskie pokoje pełne były zapachu wódki, pełne klątw i krwawych planów. Starałem się, zatrzeć te ślady, doprowadzając dom do porządku, przebudowując skrzydło, zakładając ogród

Minęła jesień i zima. Zagospodarowałem się, przy pomocy licznej, rozgałęzionej korespondencyi śledziłem każde poruszenie uczonego świata. W otaczającej mnie ciszy słuchałem polotu olbrzymiego ducha czasu — niejedno słowo, zdradzające przyszłość, przyniosła mi otaczająca mnie cisza, w mieście gwar byłby je przytłumił. Do sąsiadów moich należał pomiędzy innymi jeden z niedalekich krewnych mej rodziny. Z żoną i córką, jedynaczką, zasiadał spokojnie na swojem gospodarstwie. U nich to spędzałem długie zimowe wieczory, tak nudne na wsi. Siedzieliśmy zazwyczaj w pokoju po staroświecku umeblowanym; ściany prawie do połowy tapetowane, poniżej tapet wąska wstążka, pod nią malowane pola. Wielkie łoże, pulpit i oszkloną szafkę, zawierającą niewielki zapas książek, — kanapa, poszyta ceratą, zegar ścienny, stół czworboczny i kilka krzeseł o staroświeckich poręczach, oto całe umeblowanie. Nad małemi okienkami wisiały niewielkie firanki.

W tym pokoju przesiedziałem niejeden wieczór zimowy paląc nędzny tytoń i popijając puncz z taniego araku; z panem domu rozmawiałem o polityce, z paniami o najnowszych ploteczkach. Robiąc ręczne roboty, opowiadały mi, co kto powiedział, co ten zrobił, co ów widział itd. Pauzy w naszej rozmowie wypełniał dębowy zegar swojem tykaniem. Niekiedy dochodziły nas dźwięki kataryniki wędrownego kataryniarza, albo ujadanie i wycie psów podwórzowych oraz wrzaski parobków. — Czasami też usłyszałem niejedno słowo pełne mądrości o dawnych czasach, które minęły bezpowrotnie, ustępując innym, pełnym zepsucia..... Wielki świat, w którym myślą żyłem, zatrzymał się dla mnie, gdym próg tego pokoju przestąpił: tylko ten zakątek, odkrojony z niego, był dla mnie wszystkiem. Było mi dobrze. miło w staroświeckim tym pokoju, zdobił go urok ubiegłych czasów, a że z głębokiem przywiązaniem patrzałem na zacną staruszkę w czepeczku, na starca w ciemnem ubraniu z srebrnemi guzikami, nie uczułem nigdy dusznej atmosfery tamtejszej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wnego sposobu odparcia zręcznego ataku wstępnym bojem działającego przeciwnika, przytaczającego własne adwersarza słowa na pobicie jego. Pan hr. St. Żółtowski wie, iż dodatki p. dr. W. Sk. działać będą osłabiająco na skutek, jaki rezolucya ma wywrzeć, tak samo myśli zebranie, a jednak dyalektyk odnosi zwycięztwo nad przeciwnikiem swoim. Zebranie przyjmuje rezolucye z dodatkami p dr. W. Sk. jednogłośnie. Zgodzono się także na przyłączenie kilku praktycznych dodatków, przedstawionych przez p. Malczewskiego z Odrowąża.

Posłowie nasi, licznie na tem zebraniu obecni, okazywali wiele interesu i zrozumienia dla sprawy. *Bi.*

LITERATURA I SZTUKA.

Forpoczty.

Aurea sunt vere nunc saecula! — zawołałem z Wergilim, gdym dobiegł do końca ostatniej „Forpoczt“ stronnicy.*) Nie mamy, dalipan, czego zazdrościć ani Niemcom ich osławionej korupcyi dziennikarskiej, ani Francuzom ich zamiłowania do skandalu w literaturze. Mamy bowiem — acz w zmniejszeniu — wszystko, co tamtych „odznacza“, u siebie, w stolicy umysłowego naszego życia, w naszych Atenach, ognisku naszej literatury, jak jeszcze zwykli nazywać Warszawę — Warszawiacy. Mamy to wszystko — jeśli wierzyć na słowo autorom „Forpoczt“, uzasadniającym teoretycznie i popierającym dowodami — *actenmässig*, powiedziałby sędzia śledczy niemiecki — wszystkie gromkie swoje zarzuty, wytaczane przeciwko całej warstwie „mężów od pióra“ lub kilku jednostkom. A jednak — korupcya i skandale nasze (scilicet warszawskie), są przecież oddmiennemi od tamtych. U nas (sc. w Warszawie) nie sprzedaje się *en masse* przekonań politycznych za brzęczącą monetę lub synekure, — bo na ten towar nie ma kupców — i nie robi się skandalów w celach politycznych — bo celów tych nawet ujawniać nie wolno; ale się uprawia korupcyę literacką, zduszającą każdy talent piśmienniczy, każdą indywidualność samodzielną, która, zanim wystąpi w szranki, nie złoży czołobitności wielkim mandarynom poezyi i prozy, dzierżącym ster literatury; „robi się“ skandale — za pomocą plotek, którychby w Europie powstydziła się rajfurka wielkomiejska! — a skutek przewyższa jeszcze zagraniczne machinacye, bo osięga się to, czego w Niemczech i Francyi i nigdzie indziej dopiąćby nie zdołano. Oto: ogół, oświecony, inteligentny, krytyczny nasz ogół nie demaskuje Lindau'ów, nie zdziera szaty świętoszka z Bourgetów, nie policzkuje geszeftciarskich Ohnetów, ale jak stado baranie uznaje w nich owczarzy-przewodników swoich, biegnie za nimi i bekiem radości wyraża uznanie dla „szczytnej“ swych menerów działalności.

Jak rzadko słyszy się wobec tego zgodnego chóru uwielbienia — głos ognistego protestu, któryby świadczył, że są jeszcze ludzie, umiejący oprzeć się owczym pędom bierności — a skoro się go czasem usłyszy, jakże słabem jest jego brzmienie w porównaniu z wrzaskliwym bekiem stugębnej reklamy. Nareszcie jednak zabrzmiał donośny protest — z trzech piersi wyrwany: — Protest, poparty poczuciem własnej krzywdy tych, którzy go podnieśli, podpisany nazwiskami trzech pisarzy, z których dwaj zajęli już w literaturze naszej stanowisko pewne, a trzeci — względnie trzecia, gdyż jestto kobieta — ma wszelkie prawo do tego, aby widzieć w niej dobrą zapowiedź talentu. I ta trójka — złączona z sobą wspólną krzywdą. wspólnemi pragnieniami, dążnościami i zapatrywaniami na zadania literatury, jej stan obecny, jej luki, potrzeby i środki nie wahała się pod sąd opinii oddać wizerunek korupcyi i skandalu, o których tylko tym danem było dotąd wiedzieć, którzy ich skutki na własnej odczuli skórze. Forma, w jakiej się to stało, grzeszy może zbytnim bombastem, emfazą przesady, (naturalnej zresztą i zrozumiałej w każdym okrzyku protestu i oburzenia), lecz to właśnie gorące przejęcie się własną sprawą, które kazało autorom „Forpoczt“ widzieć w niej sprawę ogólno — jeśli nie — ludzką, to — narodową — usprawiedliwić musi zajęcie się nasze; od tych lokalnych stosunków warszawskich stoimy wprawdzie z daleka, ale stan ich przecież odczuwany, a wiemy dobrze że do oburzenia i protestu podstawy były i są aż nadto silne! Przypatrzmy się tedy bliżej temu wizerunkowi.

Na pierwszy rzut oka uderza tytuł dziwaczny. „Forpoczty“? — cóż to znaczy? Wytłomaczenie znajdujemy na samym wstępie książki, gdzie p. Nałkowski, znany geograf, daje nam definicyę „forpoczt“. Są to mianowicie typy o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznem, duchowego nad cielesnem, ludzkiego nad zwierzęcem, refleksyjnego nad czynnem! Typy z organizacyą duchową niezmiernie wrażliwą i subtelną, nie mogące wyżyć w atmosferze pospolitości, ale zarazem chromające na wielką nieproporcyonalność pragnień do możności, a nawet możliwości ich urzeczywistnienia; przeto szarpane niezadowoleniem wewnętrznem. Typy to — jak dalej objaśnia p. N. — dostarczające największej ilości nowych idei, ale zarazem największej ilości obłąkanych i samobójców, typy, które ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać nerwowemi („nerwowcami“, „mózgowcami“), ze stanowiska zaś psychiczno-ewolucyjnego (cytuję słowa pana N) — typami ewolucyjnemi czyli *„forpocztami ewolucyi psychicznej“*. — Definicya (jak widzimy) ścisła i — prawdą a Bogiem — niegrzesząca kokieteryjną miłością własną. — Wszyscy, którzy nie podpadają pod kategoryę typów powyższych — otrzymali nazwę troglodytów („Forpoczty ewolucyi psychicznej i toglodyci“ str. 5—50), z jakich składa się „tłum“, uważający nerwowców za typ zwyrodniały, skazany na zagładę — a przyszłość, jako należącą do silnych — t. zn. do troglodytów. Zapatrywanie to — zdaniem pana N. — naturalnie z gruntu fałszywe i błędne! owo mniemane

*) Książka zbiorowa przez Wacława Nałkowskiego, Maryę Komornicką i Cezarego Jellentę. Lwów 1895. Nakł. autorów, str. 270.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Moi panowie — wmieszał się Szeląg — wy dziś widocznie nie przestaniecie. Czy to ładnie sprzeczać się bez ustanku.

— Czy ładnie, tego nie wiem, ale że zdrowo, to pewna. Piwo lepiej smakuje. Ot, dajmy dziś kasie spokój, niech się w głowie uleży jak niedojrzała gruszka. Tymczasem chodźmy do Bronarza. Szołomiejski wymyślił dziś ograniczoną kasę w rękawiczkach. czy jak on ją tam nazwał, więc niech pomysł swój obleje, aby rósł. No, chodź tu stary, daj pyska.

I dwaj szermierze padli sobie w objęcia.

Tak to już od wielu lat bywało.

Należy jednak dodać, że tym razem pojednanie nie było zupełnie szczere. Raniecki żywił od pewnego czasu niechęć ku uczonemu sąsiadowi i docinał mu przy sposobności ostrzej niż zwyczajnie, a i Szołomiejski podejrzywając Ranieckiego o chęć krzyżowania jego zamiarów, czuł w sercu żal do niego.

Szołomiejski pragnąc poprawić złe stosunki materyalne syna swego Macieja, postanowił ożenić go z Lolą Borajską i w tym celu nawiązał raz już nawet serdeczniejszą rozmowę z ojcem hożej Loli. Syn jego, nicpoń, hulaka był niskim urzędnikiem pocztowym i potrzebował koniecznie żony: raz dla tego aby się ustatkować, powtóre aby jej posagiem długi popłacić.

Borajski nie dał stanowczej odpowiedzi, tłomacząc się, że Lola zbyt jeszcze młoda i że zresztą zostawił jej zupełną wolność w wyborze męża.

Gdy o tej rozmowie Szołomiejskiego z Borajskim dowiedział się Raniecki, zakipiał ze złości. I on miał syna Józefa, takiego samego pędziwiatra jak Maciuś Szołomiejski, i on żywił zamiar ożenienia Józefa z hożą Lolą — tymczasem ten w okularach Szołomiejski wchodzi mu w drogę.

Niebawem też, porozumiawszy się z żoną, oświadczył Józefowi, aby się co rychlej starał o rękę Loli, żeby go inni nie ubiegli. Nie przypadło to wprawdzie do gustu Józefowi, któremu więcej od Loli podobała się Mania Wywrotówna — ale ostatecznie gotów był uczynić zadość woli rodziców, w szczególności zaś dla przypodobania się matce, przed którą drżał ze strachu.

Tymczasem stary Raniecki wybrał się na poufną rozmowę z Borajskim. Wyłapał go w domu samego.

— Przychodzę do was sąsiedzie w ważnej sprawie — rzekł, zagajając rozmowę. — Ja tam nie umiem gawędzić słowami z książki na sposób Szołomiejskiego, więc też prosto z mostu, szczerze, po sąsiedzku powiem o co mi chodzi. Ja mam syna, wy macie córkę... piękną i dobrą córkę. Mój syn także niczego sobie. Otóż co z tego wyniknąć może?

Borajski uśmiechnął się i ruszył ramionami, udając niedomyślnego, Raniecki zaś ciągnął dalej:

— Powiada mi dziś Józef: „Idź no ojcze i zapytaj się pana Borajskiego tak naprawdę, czyby mi nie dał panny Loli za żonę, bo jeżeli nie, to kopnę się do Mani Wywrotównej“. Otóż przychodzę i pytam.

Borajski podrapał się palcem po skroni.

— Kiedyż bo, kochany panie Raniecki, doprawdy nie wiem, co na to odpowiedzieć. Wasz syn... no, tęgi chłopiec nic mu zarzucić nie można — tu Borajskiemu przyszło właśnie na myśl, że kłamie, więc się zawahał na chwilę — ale proszę Was — ciągnął wreszcie dalej — trzebaby najpierw z Lolą, co ona na to, wszakże o nią tu chodzi, nie o mnie; a po drugie... no, nie wiem czy dobrze sądzę, ale myślałem sobie nieraz, żeby ją tak wydać za Smolarza...

— Za Smolarza? — zdziwił się Raniecki — jaki kaduk znowu? Taż to nie nasze plemię.... obcy jakiś ród, a przytem goły jak bizun.

— Ba, nie goły on: sprytny, pracowity i w moim fachu uczony, mógłby kiedyś objąć warsztat i dalej go na własną rękę po mojej śmierci prowadzić.

— Nie? to nie! — ozwał się na to Raniecki, wykrzywiając twarz lekceważąco

bowiem zwyrodnienie, to niezwyrodnienie, ale ewolucya, oddalenie się od natury pierwotnej (troglodytów), która przecież nie jest chyba ideałem ludzkości. Prawda, że w życiu zwyciężają natury pierwotne, troglodyci, a „ludzie“ giną, ale ich idee żyją i „zjadaczy chleba gniotą niewidzialne“; wyciskają wreszcie na ich twarzy rumieniec wstydu, opanowują ich, podnoszą ich, lubo z trudem, na wyższy poziom duchowy ogólny, nad który wznoszą się następnie pojedyńczo nowe „forpoczty“ i tak dalej w nieskończoną dal wieków.

„Troglodyci“ zarzucają „mózgowcom“ (że już użyję terminów przyjętych w „Forpocztach“) pesymizm, wypływający z niezdolności osobistej i chęci nadawania sobie uroku wyższości nad innymi. — Wyznawcy idei Nietzsche'go („natury pokrewne mózgowcom“ por. str. 20), idei indywidualności o potężnych instynktach brutalnych, — zarzucają „mózgowcom“ brak siły, koniecznej do ziszczenia ideału, „nadczłowieka“. Oba rodzaje zarzutów są bezzasadne i bądź złą wolą dyktowane, bądź z fałszywego wytaczane stanowiska. Z pierwszemi rozprawiać nie uznaje p. N. potrzeby, w drugich błąd tkwi zasadniczy. Idea Nietzsche'go nie może być uważaną jako ewolucya, lecz jako reakcya, i tylko jako taka, jako środek. a nie jako cel ludzkości, jako chwilowy wybuch zwrotny ku pierwotności — traktowaną być winna. W niej bowiem tkwi idea „powrotu do natury“ — niemożliwa do spełnienia choćby nawet powrót taki był upragniony; w nim bowiem streściłaby się rezygnacya z cywilizacyi; byłby zadanym kłam zasadzie walki o byt, będącej czynnikiem rozwoju. Ideałem ludzkości nie jest natura lecz siła (str. 106), nie odpoczynek, nie żywot rajski na jej łonie, nie nirwana, lecz walka. Tęsknota zaś do natury jest (zdaniem p. N.) objawem znużenia, objawem podobnem do uczucia tego smakosza i i viveura, który długi czas obiadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktynki, chartreusy, szampany, a młodość strawił wśród elegantek paryskiego półświatka.. „Tęskni“ on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą“ wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską... (str 107). Tęsknota do natury wyradza się czasem w takie dziwaczne zamiłowania, jak... „knajpizm“ i „chłopomaństwo“. — Zdarza się atoli także — co *przyznaje* p. N. (str. 111) — że tęsknocie do przyrody, obok maniaków (!) i zacofańców rzuconych w wir cywilizacyi, podlegają nieraz właśnie ludzie, „najwyżej uorganizowani duchowo“ (idem), — albowiem oni właśnie w obecnej, śród nienormalnych warunków toczonej walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy prosperują); są to właśnie owi *siłacze*, zmuszeni dźwigać ciężary zbyt wielkie i zrywający czasem swe siły mimo ich tęgości. Są to atoli objawy sporadyczne; „*stały* powrót do natury jest szkodliwym, lub przynajmniej bezużytecznym z powodu walki o byt“; „w przyszłości ludzkość nie będzie nawet miała do czego wracać, bo... natury nie będzie“.

Wspomniałem poprzednio, że zdaniem pana N. ideałem ludzkości nie jest natura, lecz siła. „Mózgowcy“ nie liczą się atoli do wyznawców Nietzschowskiego ideału „nadczłowieka“; czcząc bowiem siłę nie widzą koniecznie jedynego jej wyrazu w instynktach pierwotnych, a jedynej jej miary nie upatrują w powodzeniu. Dla wyjaśnienia tej różnicy dzieli p. N. probierz wartości ludzkiej na absolutno-dynamiczny (biologiczny) i względnie-dynamiczny (społeczny). Zasadniczą wartość człowieka stanowi jego siła absolutna, o stałej wartości; realną zaś jest forma objawienia się tej siły, czyli stosunek tego objawienia do potrzeb społecznych. Wartość tej drugiej zmienia się stosownie do zmiany stosunków społecznych; pierwsza jest ważniejsza ze stanowiska ogólnego ewolucyi, druga ze stanowiska danej chwili lub fazy rozwoju. „W ocenie człowieka pierwszorzędne znaczenie powinna mieć jego siła absolutna, a możliwe spotęgowanie tej siły musi być ideałem ludzkości“! (str. 115).

W kwestyę t. zw. „transmisyi sił“, którą p. N. tłomaczy sobie wszelkie ważniejsze zagadnienia — wdawać się nie będę, nie chcąc zbytecznie przekraczać ram niniejszego artykułu. Powyżej starałem się możliwie zwięźle przedstawić teoryę „ewolucyi psychicznej“ — którą na pierwszy plan swego „protestu“ wysunęli bojownicy „forpoczt“. W krytykę tej „teoryi“ wdawać się nie będę, interesuje mnie bowiem w całym wykładzie pana N. nie jego wywód filozoficzny, ale stanowisko, jakie trójca autorów naszych zajęła w swoim proteście. Sądząc z tonu i formy rozpraw p. Nałkowskiego — przypuścićby można, że „Forpoczty“ zwiastują jakąś nową siłą odrodzenia w literaturze; z tem mniemaniem zdradza się nawet p. N. w rozbiorze dzieł i ocenie talentu swoich współtowarzyszy. Jednakowoż tego znaczenia wystąpieniu autorów „Forpoczt“ nie mogę przypisać. Przyznać trzeba, że stanowisko, jakie zarówno p. N. jak i p. C. Jellenta zajmują w artykułach krytycznych, zamieszczonych w „Forpocztach“ — różnem jest od tego, na jakiem stoi cała niemal — współczesna krytyka polska — choćby jednak stanowisko to było racyonalnem — a o to w wielu punktach możnaby się posprzeczać z autorami — to — odrodzenia literatury nie zwiastuje ono jeszcze!

Próbki talentu pp. Jellenty i Komornickiej, zamieszczone w „Forpocztach“ — niezdolne są dać jego miary. Z urywków i krótkich szkiców poetycznych o całości sądzić niepodobna: co najwyżej możnaby jakiś lekki przedsmak całości odczuć: lecz to bywa zazwyczaj zwodniczem. Zresztą nie chciałbym o talencie p. Komornickiej wydawać sądu na podstawie jej „Powrotu ideałów“, będącego dyalogowanym pamfletem, który właściwie krytyce literackiej podlegać nie powinien. W „Spowiedzi zbira“ p. Jellenta odsłania tajniki zajścia, które zdaje się było końcowym efektem długiej tajnej walki między naszymi „mózgowcami“ a przeważającym tłumem troglodytów, — zajścia zbyt osobistego, aby się nadawało do traktowania publicznego w niniejszym artykule. Dla autorów „Forpoczt“ spowiedź ta musi mieć niezaprzeczoną wagę oskarżenia wniesionego przed forum opinii publicznej; dla czytelnika „Forpoczt“ jestto ilustracya dosadnia tego stanu rzeczy, który na początku niniejszego artykułu scharakteryzowałem. Nasuwa się tylko pytanie, czy dla zabicia kilku much, warto było wytaczać ciężkiego kalibru armatę?

Na pytanie to nie powinno być dwóch

— do wójta nie pójdziemy. Powiem Józefowi niech tnie koperczaki do Mańki Wywrotówney.

— Ależ ja wam nie odmawiam — zaprzeczył Borajski — ja tylko tak sobie myślałem. Zresztą, wiecie co dobrodzieju, oni oboje tacy jeszcze młodzi, mogą czekać. Niech się w tym czasie zbliżą lepiej, poznają, no i gdy się pokochają, ja z mej strony nie będę miał nic przeciw temu. Więc zaczekajmy.

Ospowate oblicze Ranieckiego wypogodziło się.

— Hm, jest i w tem racya. Po co się spieszyć. Tylko, że ten wisus Józek.... ale co! — musi błazen czekać i kwita.

Przed domem Borajskiego przechadzał się Józef i oczekiwał spokojnie na odpowiedź. Gdy się więc Raniecki wychylił z za furtki ogrodowej, przypadł do niego, nawołując już z daleka:

— Pst, pst, ojciec!

— Aha, dobrze, że czakasz jeszcze. Myślałem żeś już pogonił.

— A co mówił ojciec ze starym?

— To się wie:

— I co? ile daje?

— A no, nic nie daje.

— Jakto: nic?.. przecież ja się bez pieniędzy żenić nie będę.

Natarczywe pytania zniecierpliwiły Ranieckiego. Ujął się więc rękami pod boki i mało dbając, że to ulica, wsiadł na syna:

— Powiedz mi błaźnie jeden, czego się tak spieszysz?! Nie wiesz, że co nagle, to po dyable?

— Ta przecież ojciec sam wczoraj...

— No, cóż z tego. Co było wczoraj, to nie dziś. Będziesz czekał i kwita.

— A co na to matka powie?

— Głupiś.

— Aha, dobrze ojcu tak mówić, a mnie matka już żyć nie daje: Ożeń się, ożeń, i końca temu nie ma.

— Osioł jesteś. Co zważasz na matczyne gadanie. Każdy młody człowiek powinien wyszumieć, i ty także. A gada, niech gada. Póki ciebie ma na oku, mnie nie widzi.

— Aha, mądryś! Już ja wolę, żeby matka ojca miała na oku, a nie mnie. Zresztą — dodał po chwili, ogryzając paznogcie — ojciec mówi całkiem dobrze. Spieszyć się nie ma czego. Albo mi to źle być jeszcze kawalerem?... Phi!

— Rozumie się!

— Oczywiście!

— No pewnie!

Po takiem wzajemnem porozumieniu się, poszli w zgodzie do domu, obmyślając po drodze w cichości, każdy na własną rękę sposób obrony przeciw matce i żonie.

— Od tego jednak czasu nie dowierzał Szołomiejski Ranieckiemu i na odwrót Raniecki obawiał się Szołomiejskiego, twierdząc w duchu, że mu źle coś z okularów patrzy.

VI.

Trzynastego stycznia wielkie przygotowania u Borajskich.

Pani Marcysia uwija się w kuchni od świtu, Lola i Anulka porządkują w pokojach, ścierają prochy, przyrządzają zakąski, zaprawiają świece w lichtarzach i oglądają co chwila z zachwytem nowe sukienki, porozwieszane na krzesłach.

Po południu wybiegły obie na miasto, Lola po różową wstążeczkę do włosów, Anusia dla jej towarzystwa. Wprawdzie wstążeczkę różową można było kupić w sklepie na „nowem mieście“ ale obie uznały bez poprzedniej narady, że w rynku u Walca będzie taniej i kupiec lepszą da miarę. Więc poszły do rynku.

Mróz był silny, powietrze zdrowe, orzeźwiające, dzień pogodny, słoneczny.

Obie biegły szybko i twarzyczki ich pokraśniały rumieńcami. Lola, ubrana w ciemno-granatowy, prawie czarny kubraczek, bramowany białem futerkiem i w białą czapeczkę barankową, z pod której wychylała się gruba, złoto blond kosa, bardzo dodatnie czyniła wrażenie. W każdem jej poruszeniu, uśmiechu, lub głośniej wyrzeczonem słowie, przebijał ogień młodości, krewkość, rozkoszne życie. Anulka odznaczała się również urodą, aczkolwiek w odmiennym zupełnie rodzaju. Cerę miała białą, twarzyczkę szczupłą, małe usta, czarne rzęsy i duże czarne oczy, których oprawa świad-

odpowiedzi: Czy autorowie „Forpoczt“ dobrze zrobili, że do książki swojej załączyli akta czysto osobistego procesu, — to kwestya; że jednak wydanie drukowanego protestu przeciwko niesłychanemu nepotyzmowi, jaki wprost zanieczyszcza od lat wielu atmosferę dziennikarsko - wydawniczą w Warszawie, a tem samem oddziaływa szkodliwie na całą Polskę, — przeciwko korupcyi, która jawnie się odbywa, i geszefciarstwu, nie znającemu tamy — był na miejscu, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jeśli doszło, jeśli dojść mogło do tego, że autorom, którzy upomnieli się o doznaną zniewagę, zamknięto wstęp do pism publicznych, odcięto drogę do ogółu, jeżeli do tak haniebnej, bezprzykładnej presyi pociągnąć się dały nawet te redakcye pism, których uczciwość wyższą jest nad wszelkie potępienie, i to jedynie dla tego, aby nie narazić się wszechpotężnym mandarynom, „dzierżącym ster dziennikarstwa i literatury“ to głośny, publiczny protest był czynem moralnym, spełnieniem obowiązku publicystycznego, zasługującym na pochwałę każdego uczciwego człowieka — bez względu na jego przekonanie.

Potrzebnem było też odezwanie się takie, jak p. Jellenty w jego „Cieplarni bezducha“, wykazanie szkód, których już dokonała u nas owa krytyka niepowołana i kłamliwa, co to nie zajrzy nigdy do wnętrza dzieła, jeno nadchrobocze je z wierzchu jak szczur i nie mogąc ugryść, obrzydzi je ludziom, albo zasłaniając się obawą, iż zbytnia surowość zabija talenty, opiekuje się charłactwem duchowem mandaryńskich lutnistów i.... — risum teneatis amici! — ich epigonów. Czas było naprawdę zapytać się śmiało: gdzie się podział u nas polot i zuchwałe, mozolne wspinanie się na wyżyny? Dokąd zajdziemy, hodując z taką pieczołowitością miernoty — kosztem prawdziwych, a nieuznawanych, zgniatanych talentów, których się nie zabija uczciwą krytyką, ale obuchem złośliwej frymarki powala? Brak szerszego poglądu na świat i ludzkość, brak poczucia łączności z najżywotniejszymi prądami społecznemi, ubóstwo myśli, sztuczność uczucia — oto cechy dzisiejszej literatury naszej.

Czarnego tego obrazu nie rozjaśnia żaden świeży, wybitny talent, któryby dawał rękojmię przyszłości. Stare gwiazdy, choć świecą snopem promieni, - niedługo jaśnieć mogą, a co potem? Co będzie, gdy nie stanie literaturze polskiej Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej; — gdzie ich spadkobierców duchowych szukać mamy? Czy będą nimi: — Gawalewicz, Kosiakiewicz, Jankowski, O r o t e t u t t i q u a n t i?

W autorach „Forpoczt“ drga nuta niepospolitej samowiedzy i pewności siebie. Z utworów ich i rozpraw przegląda ufność, że im danem będzie zajaśnieć słońcem na ciemnem tle literatury. Co najmniej widzą wzajemnie w sobie materyał przyszłości.

Nie chcę przesądzać, czy jest w tem racya. Cez. Jellenta dał się poznać jako krytyk bystry, nie zawsze może ważący ściśle swoje sądy, ale opierający je na silnem przekonaniu i znajomości współczesnych kierunków literackich i jako taki zajął już stanowisko, z którego go nie zepchnie brutalny bojkot gazeciarski. W. Nałkowski, umysł oryginalny, bystry spostrzegacz i bezwzględny krytyk — znający tylko jeden wzgląd, wzgląd na prawdę — nie ma równego u nas pisarza pod względem ścisłej znajomości przedmiotu, którym się zajmuje. Marya Komornicka, młoda poetka, próbująca sił swoich na różnych polach, — nie dostarczyła dotąd podstawy do stanowczego o sobie sądu.

Zapał często tworzy cuda — oby i tym razem udało się cudem jakimś wyplenić ten chwast nepotyzmu i miernoty z niwy dziennikarskiej, którym ona od lat tylu tak obficie zarosła, że niezadługo padnie pod głuszącym jego wpływem i ta odrobina roślinności pożywnej, która się jeszcze na niej ostała. Gdyby w apatycznem naszem społeczeństwie „Forpoczty“ wywołać zdołały choć dziesięć razy mniejsze echo, niźli swego czasu mała i pusta broszurka Bleibtreu'a „Revolution in der Litteratur“ w Niemczech — moglibyśmy uwierzyć w odrodzenie literatury naszej.

Dr. Ignacy Suesser.

Artysta i świat.

W papierach pośmiertnych Karola Gounoda znaleziono rękopis, zawierający wiele rozumnych uwag o stosunku artysty współczesnego do współczesnego ogółu. Oto ważniejsze ustępy z tej pracy:

Zadziwiający rozwój stosunków społecznych wywiera na stosunki i dzieła artystów wpływ raczej zgubny, niż dodatni. Ongi, nie tak nawet dawno, artysta tak samo jak uczony uważany był za członka jednej z wielkich korporacyi robotników myśli. Widziano w nim rodzaj indywiduum wyodrębnionego z całości, którego cela była niedostępną, nietykalną i poświęconą; odczuwano pewien wyrzut sumienia, gdy odrywano go od ciszy i spokoju, gdy przeszkadzano mu w skupieniu, bez którego niepodobna tworzyć dzieł potężnych, żyjących dłużej, niż chwila bieżąca.

Dziś artysta nie należy do siebie; należy on do całego świata. Jest to tarcza, do której wszyscy strzelają. Jego życie indywidualne i produkcyjne jest zaabsorbowane, konfiskowane, rozdrobnione na monetę zdawkową przez rzekome obowiązki życia w społeczeństwie, a zobowiązania te, płytkie i małe, plączą go w sieć nici nie do rozwikłania. Jednem słowem, dziś artysta pożerany bywa przez otoczenie.

Otóż z czego składa się to otoczenie artysty nowoczesnego? Przeważnie z ludzi, którzy boją się nudów. Molière scharakteryzował to dobrze w słowach, zwróconych do ministra Colberta:

Do pracy i do wizyt trzeba mieć talent osobny,
Kto oddaje się światu, ten wyrzeka się swojej sztuki.
Umysł rozerwany rzadko coś tęgiego płodzi,
Bo wysiłki artyzmu pochłaniają całego człowieka.

Niechże kto zachowa „umysł nierozerwany“ w dzisiejszych warunkach, gdy artysta, zwłaszcza ubogi, a więc potrzebujący ludzi, utrzymywać musi stosunki, które mu kradną czas, myśl, talent, życie. „Ależ to wina artysty! — zawołacie — niech zamknie światu drzwi przed nosem, a będzie panem swojego czasu, myśli, pracy, talentu“. Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Ludzie ci, co się nudzą, przyjdą i do drzwi zamknię-

---

czyła na pierwszy rzut oka, że jest siostrą Franciszka Smolarza.

— Obejdziemy rynek na około. Dobrze? zapytała Lola.

Anusia uśmiechając się skinęła głową na znak zgody. Zaledwie uszły kilkanaście kroków, Lola zatamowała oddech i nagle westchnęła.

— Idzie! rzekła półgłosem.

W oddali ukazał się piękny młodzieniec, ubrany modnie, po wielkomiejsku, w cylindrze na głowie, w rękawiczkach, z cienką laseczką w ręku. Piękny wzrost, niezwykła dorodność oblicza i zgrabne, elastyczne ruchy, wyróżniały go znacznie z pomiędzy snujących się po rynku licznych przechodniów.

Mijając je, uchylił Dyniecki zgrabnie kapelusza i uśmiechnął się, jak do dobrych znajomych.

Lola odpowiedziała na ukłon rumieńcem, który zadrwił sobie z mocy ośmnastostopniowego mrozu.

Szła dalej szybko. Dopiero na zakręcie oglądnęła i ujrzała, że Dyniecki przystanął i również śledzi ją wzrokiem. Oczy ich się spotkały. Zawstydzone dziewczę zawróciło prędko w boczną uliczkę, pociągając za sobą towarzyszkę.

Dyniecki był przed tygodniem u Borajskich, przywiedziony przez Łasieckiego. Spiesząc się na inną wizytę, bawił bardzo krótko, przyrzekł jednak, że w teatrze amatorskim grać będzie. Również obiecał przyjść na imieniny pani Marcysi.

Stąd pochodziła bliższa znajomość Loli z pięknym kołczaniańskim młodzianem.

Za powrotem do domu miały dziewczęta tyle jeszcze wolnego czasu, aby bez świadków wysłuchać wymówek pani Borajskiej za niepotrzebne a długie uganianie po mieście i spokojnie przywdziać nowe sukienki. Niezwłocznie bowiem poczęli schodzić się goście i napełniać cztery obszerne pokoje mieszkania Borajskich.

Przyszli Wywrotowie z trzema córkami, Ranieccy z Józefem, Szelągowie z Mańką, dwaj bracia pani Marcysi, mydlarze Grzybińscy z żonami i córkami, Łasiecki, Smolarz i wiele innych osób.

Cała gromada dzieci od lat sześciu do trzynastu należących do różnych rodzin i domów, uwijała się wśród starszych, wrzeszcząc, śmiejąc się, rozbijając stołki, komody, drzwi i każdego, który im na zawadzie w wzajemnym pościgu stawał.

Co chwila musiała pani Marcysia, krzątająca się w jadalnym pokoju, wyciągać z pod głównego stołu jakiegoś bębna, który urządzając sobie tam kryjówkę, groził ściągnięciem obrusa wraz z kosztowną zastawą i pieczywami, mozolnie przez nią wyrobionemi.

Pokoje napełniły się śmiechem, gwarem, dymem tytoniowym i złotym humorem.

Pan Storch, sławny muzyk, przybył już także i dla pospiechu zajadał przy osobnym stoliku zimne przekąski, aby co prędzej usieść do fortepianu.

Lola, w różowej sukience, z różową wstążką w długim złotym warkoczu, uwijała się wśród gości, zapraszała mężczyzn na wódeczkę i przekąski, sadzała starsze kobiety na kanapie, odpowiadała od razu na dziesięć pytań, ściskała małe dziewczątka co się do niej gromadnie garnęły, a wśród tego rzucała co chwila na drzwi ukradkowe spojrzenia.

Wreszcie rozwarły się one i wszedł ten, kogo tak gorąco oczekiwała.

Łasiecki i Smolarz zacisnęli się w kącik pod okno i z tamtąd spoglądali od dłuższego czasu na zebrane tłumy gości.

Satyryk Łasiecki mówił wciąż półgębkiem, zasłaniając usta dłonią. Obmawiał i nicował w pierwszym rzędzie kobiety, ale i dla mężczyzn nie był pobłażliwym.

Smolarz słuchał go z rozprószoną uwagą, uśmiechał się i milczał.

— A jakże, było to na tańcach zeszłego roku — ciągnął właśnie Łasiecki, mrugając oczyma ku Dynieckiemu. Sam widziałem, jak Boga kocham. W ubieralni było ciemno, a ja właśnie wieszałem burnus na szaragach i szukałem czegoś w kieszeni, więc się nie ruszałem. W tem ona wychodzi z sali i nie widząc mnie mówi:

„Nie wolno tu, nie wolno“. A on: czemu nie wolno?“

— Bo mi podwiązka spadła i muszę założyć.

tych. I oto rozpocznie się rozmowa następująca:

— Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

— Ależ.. tak.. owszem.

— A więc przepraszam. Odchodzę. Powrócę kiedyindziej.

— O, nie!

— Aha! Ależ kiedy można pana widzieć, nie przeszkadzając?

— Proszę łaskawego pana, wizyta przeszkadza mi zawsze, ilekroć jestem w domu.

— Czy tak? Jesteś tak zawsze i tak bardzo zajęty?

— Zawsze, dopóki mi nie przeszkodzą.

— A, mój Boże, jakże mi przykro! Ale ja zajmę panu zaledwie parę minut.

— To właśnie tyle, ile potrzeba do przerwania myśli. Zresztą, skoro pan już jesteś, mówmy.

Tak dzieje się codziennie. Najbardziej narażeni są na to muzycy. Malarze, rzeźbiarze mogą od czasu do czasu zamknąć się u siebie. Ale muzycy! Mogą pracować w dzień, więc wieczorami wzywani są na rauty. Jeżeli zaś na rautach bywać nie chcą, proszą ich o udział w „porankach“. Bo tak łatwo komponować! Kto ma talent, komponować będzie zawsze, nawet bez skupienia! Muzyk, zwłaszcza muzyk głośny, jest w czasach obecnych, w ścisłem tego słowa znaczeniu, własnością narodową. Przez dom jego prowadzi ulica. Zycie jego oddane jest na pastwę próżniaków, ciekawych, ludzi próżnych, wpływowych.

Takie stosunki są złe i niezdrowe. Dziewiczość duszy, którą podtrzymuje się jedynie przez skupienie, pierzcha i z każdem dniem więdnie w zetknięciu z tłumem próżnym, próżniaczym, bogatym, wpływowym. Zegnajcie godziny ciszy, spokoju, w których artysta powinien słuchać głosów swojej duszy!

Do takiego stanu rzeczy przyczynia się w znacznym stopniu mniemanie, iż talent nawet prawdziwy musi mieć za sobą protekcyę świata, jeżeli chce dojść do czegoś. Protekcya świata! Ależ nic nad to niepewniejszego, bardziej chwiejnego, bardziej zwodniczego. Na domiar *świat ofiaruje swoją protekcyę tylko tym, którzy doszli już do wziętości, sławy, powodzenia.*

Jednym z najbardziej utartych frazesów, którym ludzie nudzący się usiłują oderwać artystów od pracy, jest ten:

— Ależ pan się zabijasz! Pracujesz za dużo! Trzeba odpocząć. Przyjdźże pan do nas, rozerwiesz się trochę.

Nic nad to fałszywego. Praca zabija? Co znowu! Kto tak mówi, nie zna, co to praca. *Zabija praca jałowa, bezduszna, niesympatyczna, traktowana jako rzemiosło, ale nigdy praca twórcza, dająca zadowolenie sama w sobie.* Nie, praca nie jest tak okrutną, ani tak niewdzięczną, aby zabijać miała człowieka jej oddanego. Najpracowitszym robotnikiem jest podobno serce człowieka, bo pracuje wciąż, od początku do końca istnienia, bez przerwy, bez umęczenia, na jawie i we śnie, we dnie i w nocy. Coby powiedziało serce, gdyby mu nakazano odpoczynek, pod pozorem, że praca zabija. *Otóż praca dla życia umysłowego artysty jest tem właśnie, czem serce dla życia fizycznego człowieka.* Jest to karmienie, ruch i oddychanie inteligencyi. Jest to praca nużąca tylko dla tych, którzy jej nie prowadzą systematycznie. *Nie myślcie, że pracu jest karą; przeciwnie jest ona szczęściem i zdrowiem.* Ziemia ciągle uprawiana i w wysokiej pozostająca kulturze jest naprawdę zdrowa; ziemia pozostawiona odłogiem staje się zachwaszczoną, a więc niezdrową. Nie, nie praca zabija, ale bezpłodność; *płodność w artyzmie, to młodość i życie.*

Nie chcę bynajmniej, aby artysta był koniecznie mizantropem, dziwakiem, odludkiem. Ale czy tak zw. stosunki światowe zastąpią owe chwile uroczyste i świetlane, które zowią się, słusznie czy nie słusznie, natchnieniem? Czy przyjemność płynąca z owych stosunków może być porównana do chwil samotności, dających tematy, oświetlenia, pomysły? Artysta, który szuka wciąż świata, podobny jest do człowieka, który opuszcza świątynię, aby udać się do pałacu, choćby to był pałac z Tysiąca i jednej nocy.

Nie każdemu dano być geniuszem; nie każdemu dano być wspaniałą rzeką, zraszającą ogromne przestrzenie; ale i w drobnym talencie, w drobnym strumyku odbijają się promienie słońca i błękity nieba.

Jeszcze jedna uwaga — kończy Gounod. Kto szuka wciąż świata, ten słyszy wokoło tyle zdań różnych, opinii, pochwał, krytyk, iż powoli zatraca świeżość swojego własnego zdania i opinii. Artysta w tym młynie, który się ścieraniem zdań nazywa, traci wiarę w samego siebie, traci pewność amego siebie, traci pewność poglądu, staje się bezwiednie pionkiem w ręku „większości“, myślącej tak lub owak, słowem, traci najcenniejszy przymiot artysty: oryginalność. Przytłacza go to, co Józef de Maistre tak słusznie nazwał „ciężarem pustki“. Kto słucha dzwonu, słyszy ton; ale kto słucha wielu dzwonów na raz — jakąż słyszy kakofonję!...

K. W.

Z księgi „Kohelet“.

(Rozdział I, II, III i początek IV-go.)*)

1. Ja kaznodzieja, ja syn Dawidowy,
Ja mędrzec Pański, władca Izraela,
Szukałem prawdy i poznałem wiela, —
A oto księgę piszę temi słowy:

2. Marność jest wszystko, marność nad marności —
I nic człek nad to nie ma z swojej pracy;
Dzieło rąk jego roztoczą robacy —
A koniec wszystkich rzeczy jest w nicości!

---

*) Powyższe strofy są przekładem pierwszej części księgi „Ecclesiastes“ (hebr. Kohelet) króla Salomona. Starałem się o wierność przekładu, o ile tylko forma wierszowa na to pozwalała. W niewielu miejscach jedynie odstąpiłem nieco od oryginału, lub pozwoliłem sobie dodać jaką strofę lub wiersz, — a to dla uzyskania ciągłości w toku myśli, której często brak wywodom mędrca biblijnego. Zdaje mi się jednak, że duch całości nie ucierpiał na tem.

Zaiste! niniejsze rozdziały księgi Kohelet powinniby czytać wszyscy pesymiści dzisiejsi, którzy sądzą, że zwątpienie ich jest czemś nowem, jakimś wyjątkowym i dziwnym objawem „końca wieku“.... Pierwszy pesymista, o którym wieść nas doszła, potężny i mądry król Salomon, wypowiedział na swój sposób i w krótkich słowach wszystkie te zwątpienia i rozdźwieki, które później tłoczyły piersi filozofów, — od „ciemnego mędrca z Efezu“ począwszy, a na Schopenhauerze, Hartmannie i Nieztschem, skończywszy. A blisko już temu trzy tysięce lat! Nihil novum sub sole!...

— T... to ja pomogę — powiada i chce naprawdę pomódz.

Uderzyła go wachlarzem po palcach, a on porywa ci ją wpół, przypiera do kąta i zaczyna całować. Ona zaś t... tylko chichocze i niby to się broni. Dopieroż jak ja sobie nie chrząknę, nie chrząknę z pomiędzy paltotów po ludzku!... Mówię ci, jakby piorun trzasł t... tak ich z ubieralni wysadziło. Ho, ho, znam ja go!... to wesoły sobie ptaszek! On potrafi w trzech naraz się kochać i wszystkie trzy jednego dnia uszczęśliwi, tyle ma w sercu ognia... Ja ci mówię Franek, nie bądź ciarachem i kuj żelazo póki czas. Ot, patrzaj, przysiadł się do twojej panny Loli... Dalibóg, on ci chapnie pannę i dwa domy i warsztat i szczęście z przed nosa. A doprawdy, że nic a nic nie będę cię żałował, bo sam sobie jesteś winien... No, przypatrz się tylko, jak oni z sobą rozmawiają.

W tej chwili odesłała pani Marcysia Lolę do Szelągowej, a sama przysiadła się do Dynieckiego. Łasiecki spostrzegłszy to, zauważył znowu:

— Aha, przysiadła się druga. Zaczekaj tylko trochę, a obaczysz, że i tej w mig głowę zawróci. On mężatki woli n... nawet niż panny, sam to powiada... a p... pani Marcysia nie chce być jeszcze babką w teatrze.

Oblicze Smolarza w miarę uwag Łasieckiego zasępiło się. Wcisnął się jeszcze więcej w kąt, złożył ręce na krzyż i przestał patrzeć na ludzi.

Tymczasem pan Storch usiadł do fortepianu i zagrał skocznego mazura. Wnet potworzyły się pary i jak kto umiał tak czynem cześć oddawać począł zacnej patronce Terpsychorze. Niektórzy z mężczyzn, z Józefem Ranieckim na czele, walili obcasami w podłogę, trzymając się reguły, że im więcej znaków będzie w posadzce, tem skoczniejszy mazur.... niektórzy zgubiwszy raz takt, próżne czynili wysiłki, by się napowrót dostać do utraconego raju, inni znowu atakowali zabawnie jedną i tą samą nogą przestrzeń lub poprzedzającą parę, wlokąc drugą w rezerwie i wiele tam jeszcze było innych ulepszeń mazurowego kroku, lecz... mój Boże, któż o to pytał?... kto się tem martwił?

Dyniecki, prowadząc tańce, sam tańczył świetnie, to też oczy obecnych połączone z nim nierozwalnym zda się promieniem, ścigają go bez ustanku; na innych nie zważano.

Dokoła sali siedząc na krzesłach, ławkach, zaścielonych dywanami i na kanapach kobiety starsze i mężczyźni, przytrzymując w objęciach lub też za ubrania małą gawiedź, aby niewczesnem wmięszaniem się w grono tańczących, nie naraziła ich na upadek a nóg własnych na rozmiażdżenie podczas skocznego hołupca.

Raniecki, nie usuwając się od towarzyskiego obowiązku, dzierży na kolanie sześcioletnią Zosię, córeczkę Wywrotów. Oczy śmieją mu się rozkosznie, jedną nogą wybija takt na podłodze, a grube palce wygrywają w ślad za panem Storchem hołupce po sukience dziewczątka. Taniec bardzo go podnieca, omal sam nie podskoczy do pani Szelągowej lub innej jakiej poważniejszej niewiasty z zaproszeniem do mazura. Wstrzymuje się jednak i tylko lekkiem poruszeniem łokcia od siebie, przywołuje uwagę sąsiada Szeląga:

— Ten ci dopiero zawija!... niech go drzwi ścisną — powiada, wskazując nosem na Dynieckiego, a po chwili dodaje — Ale i mój Józef, panie dobrodziejaszku także nie od macochy, co?... prawda?... ha?...

On i Łasiecki należą do tych istot szczęśliwych, którym się nigdy usta nie zamykają, a gdy się kiedy wydarzy, że się obaj przypadkiem zejdą razem, wówczas mówią równocześnie, nie słuchając jeden drugiego.

Dziś niepodobna aby to nastąpiło, gdyż Łasiecki puścił się wraz z innymi w tany i hula bez pamięci.

Skończył się mazur, skończyła polka i kilka innych odbyło się jeszcze tańców, wśród których nikt z tańczących nie miał wytchnienia.

Dopiero przed kolacyą nastąpiła większa przerwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

3. Człowiek się rodzi, wzrasta, żyje, ginie,
W miejsce wymarłych nowe wstają ludy
Na nowe prace, boleści i trudy, —
A w zapomnieniu imię ich przeminie!

4. Nad ziemią wstaje jasna tarcza słońca,
Wznosi się świeci i na zachód dąży, —
Gaśnie, znów wschodzi i po niebie krąży
Drogą tą samą — i tak wciąż bez końca...

5. Wszystkie strumienie uchodzą do morza,
Lecz morze nigdy nie wykracza z brzegu,
Wody wracają, w wieczno-krężnym biegu
Płyną bez zmiany przez te same łoża.

6. Wiatr na południe z północy przelata
I znów na północ skrzydła swe przeważa;
Wszystko przemija i znów się powtarza,
A niewzruszone są podstawy świata!

7. Ażali człowiek wypowiedzieć zdoła
Nieprzeliczonych wszystkich rzeczy miana?
Ani mu słyszeć wszystkich moc jest dana,
Ani zobaczyć wszystko dookoła.

8. A wszakże wszystko, co było, znów wraca,
I co się stało, znowu dziać się będzie;
I tak bez końca pasmo dni się przędzie,
Ze starych — nowe.... Czemże ludzka praca?

9. Kędyż jest, ktoby dzieło życia swego
Mógł nazwać nowem? Wszystko co się dzieje,
Znały minionych już wieków kolleje —
I nic pod słońcem tem nie ma nowego!

10. A pierwszych rzeczy pamięć już u ludzi
Zgasła i dawnych słów przebrzmiały dźwięki, —
A któż przypomni dzieła naszej ręki,
Kiedy pierś naszą w grobie śmierć wystudzi.

11. Przetoż ja, mędrzec, władca Jeruzalem,
Ja, kaznodzieja i król Izraela,
Widząc to wszystko lat strawiłem wiela
Na myślach łzami zaprawnych i żalem.

12. I rozmyśliłem w sercu mojem badać
I dowiadywać się o wszystkiem mądrze,
Zarodka prawdy w każdej rzeczy jądrze
Szukać, a cobym znalazł, w księgi składać.

13. Bo tę najgorszą dla tej ziemi syna
Bóg dał zabawkę, aby się nie bawił:
By na szukaniu mądrości czas trawił
I poznał w końcu — wszystko proch i glina!

14. I wszystko marność, marność nad marności,
I wszystko próżne utrapienie ducha!
Głupi rad mędrca nie łacno posłucha,
Ni się przewrotny odwieść da od złości!

15. Myślałem: Otom wielki na tej ziemi,
A mądrość moja w Izraelu sławna,
Ni jej dorówna jaka wiedza dawna,
Ni się powtórzy między potomnemi!

16. Poznałem rzeczy, które są pod słońcem,
Poznałem mądrość, głupstwo, cnotę, błędy;
A oto przyznam, iż marność jest wszędy,
Marność i boleść wszystkich rzeczy końcem!

17. A to wam głos mój na wsze czasy wieści,
Że udręczeniem jest rozumu pycha,
A gorycz na dnie mądrości kielicha:
Kto wiedzę mnoży, przyczynia boleści!

*

18. Więc rzekłem sercu; szalej serce moje!
Zażywaj dobra i zaznaj rozkoszy,
Niech myśl posępną brzęk puharów płoszy,
Smutek niech z czoła scałują dziewoje!

19. Ale poznałem, że i to jest marność,
Śmiech mi szyderstwem wydał się i grzechem, —
A więc rozkoszą wzgardziłem i śmiechem,
I znów do myśli mych wróciła czarność..,

20. Rzekłem rozkoszy: Czemu zwodzisz darmo?
Jałowa jesteś, niesyta i pusta!
I powściągnąłem od wina me usta,
A łzy wciąż były mą codzienną karmą...

21. I znowum pytał, kędy mądrość mieszka?
I czem się różni rozum od głupoty?
I jakim czynom nadać miano cnoty?
I jaka wiedzie, gdzie, do szczęścia ścieżka?

22. Czyż skarby moje i moja potęga
Zadowolenia dla serca nie dadzą?
Toż mocny jestem, pod moją władzą
Mam lud i złoto z krańców widnokręga!

23. Począłem tedy gromadzić dostatki
Rozwielmożniłem wszystkie dzieła moje,
Stawiałem domy, a złote podwoje
I strop z cedrowych belek dałem gładki.

24. W koło rozkoszne sadziłem ogrody,
Winnice moje umaiły wzgórza,
A woda cystern rosi ich podnóża,
A do cysterny setne ciągną trzody!

25. A w domu moim wezgłowia z purpury,
A stu lutnistów w struny cytar dźwięczy,
A sto służebnic przy mem łożu klęczy —
Wszystkich ziem świata najpiękniejsze córy!

26. Okręty moje, jak stado żórawi,
Ciągną ze złotem przez morskie głębiny —
A dziesięć krain zsyła mi daniny,
A dziesięć ludów mądrość moją sławi!

27. I nie broniłem oczom mym wesela,
Anim postawił sercu jakiej miedzy,
A tom za dział swój miał z bogactw i wiedzy
Sławny po ziemi, ja król Izraela!

28. Lecz kiedym spojrzał wesołem obliczem
Na bogactw moich niezliczone krocie,
Na dzieła w trudzie zdziałane i pocie,
Poznałem: wszystko marnością i niczem!

29. Wszak mija wszystko pod słońcem jak mara,
I nie trwa wiecznie nic, co zdziałał człowiek;
Więc po co trudem spędza sen z swych powiek,
Na co buduje i o co się stara?

30. Próżność człowieczych zabiegów poznawszy,
Poszedłem światła szukać i rozumu,
Patrzeć, czem mędrzec od szaleńców tłumu
Różny i w czem jest żywot nań łaskawszy?

31. I zobaczyłem mędrca i głupiego —
I wiem: jak różna od nocy jaśń dzienna,
Tako jest mądrość od głupstwa odmienna;
Wszelakoż jeden koniec jest wszystkiego...

32. I rzekłem w sercu: jeśli będzie jedna
Śmierć dla głupiego i mędrca pospołem,
Obaj są równo prochem i popiołem —
I nic mi mądrość na ziemi nie zjedna — —

33. Wszystkich się ludzi w proch obrócą szczątki,
Wszystkich zarówno skryje zapomnienie,
Ani ich wspomni przyszłe pokolenie,
Ani zostaną w czasie ich pamiątki...

34. Więc lubom lata, szukając mądrości,
Strawił, nic nie mam, — pociłem się próżno—
A śmierć mi jedna nie zostanie dłużną;
Więc i to marność, jak inne marności!

35. Przeto obmierzły mi już dni żywota,
Gdy wszystko złem jest i wszystko boleścią,
A utrapienie ducha całą treścią
Rzeczy pod słońcem — i wieczna zgryzota!

36. Wstrętne mi pracy stały się zdobycze,
Jąłem się brzydzić dziełem mojej ręki,
Wszystkim bogactwem, owocem mej męki —
I odwróciłem odeń swe oblicze...

37. I odmówiło serce moje trudu,
I odmówiła ręka ma pracować,
Bo nie wiem komu mam te skarby chować,
Na jakie czas, dla jakiego ludu?

38. Mamci dziedzica zostawić po sobie,
O którym nie wiem, zali nie roztrwoni
Dobytków moich i pracy mych dłoni,
Którą zdziałałem w mego życia dobie.

39. A któż mi marność gdzie większą wymyśli!
Człowiek przez wszystkie dni swego żywota
Pracuje, składa, dręczy się, kłopota,
By trwonić mieli co dziedzice przyśli!

40. I to nieszczęście! Na cóż mi więc praca,
Co mi ze złota, wiedzy i zasobu?
Wszakże nie wezmę z sobą nic do grobu,
Gdy śmierć zawita, co wszystko wywraca!

41. I gdzież pod słońcem pożytek człowieka!
Pełne dni jego boleści i znoju,
Ani śpiąc w nocy zaznaje pokoju,
Ni wie, pracując, co go jutro czeka!

42. Żali nie lepiej pić i jeść bez troski,
Żali nie lepiej wypróżniać puhary
Na łonie dziewic, przy dźwiękach cytary,
W pląsach i śmiechu? A toć jest dar boski!

43. Dał Bóg wesele temu, kto go słucha,
Dał szkarłat, bisior, i jadło i trunek, —
A głupcom jedno ból dał i frasunek, — —
Lecz i tam marność a strapienie ducha!...

*

44. Wszystkiemu czas jest pod słońcem i pora,
Wszystko na świecie krąży bez ustanku
I wszystko mija! Jestci czas poranku,
I czas południa jest i czas wieczora...

45. Jest czas początku i czas końca rzeczy,
Jest czas zasiewu i jest czas zbierania,
Czas pląsów, śmiechu, jest i czas płakania, —
A cóż ma nad to z prac swych syn człowieczy?

46. A wszystko dobrem wyszło z ręki bożej,
Lecz niedostępne dla tej ziemi syna
Ścieżki poznania, bo on proch i glina,
I źle mu było — i jest mu wciąż gorzej!

47. Darmo by myślą wzlecieć chciał do nieba
I darmo poznać odwieczne wyroki:
Dziedzictwem jego znikomość i mroki —
I zawsze boleć mu i tęsknić trzeba!

48. Niechaj się zatem nie zrywa do lotu,
Niech nic nie szuka, bo nie odkryje, —
Niech się weseli jedno, je a pije,
Boć to jest jego — okrom łez i potu!...

49. Wszystko ma drogi niewzruszone, wieczne,
A człek nie zdoła zmienić ich porządku;
To jest i będzie, co było z początku,
A co Bóg zechce, wszystko jest konieczne.

50. Gdym podniósł oczy, obaczyłem wszędzie
Na miejscu sądu niezbożność i zdradę,
W miejscu prawości podłość i szkaradę —
Wszelakoż wszystkim rzeczom koniec będzie.

51. Dla wszystkich przyjdzie czas sądu i śmierci;
Człek sprawiedliwy, jako i niezbożny,
Pomrą zarówno w dzień on wszystkim trwożny—
A czerw ich kości spróchniałe przewierci...

52. A Bóg dopuścił marność na tę ziemię
I zdeptał synów Adamowych pychę,
Aby poznali jak ich życie liche,
I że bydlętom równe ludzkie plemię!

53. Bo cóż ma człowiek więcej jak bydlęta?
Równy obojga stan jest i skończenie
I życie równe, równy los i tchnienie,
Nieświadomości wiecznej równe pęta!

54. Wszystko jest marność! — i wszelakie ciało,
Człowiek i bydlę, drogami jednemi
Na jedno miejsce muszą iść — do ziemi;
W proch się obraca, co z prochu powstało!

55. A któż mi powie zali ma co więcej
Syn Adamowy — i gdy śmierć rozkrusza
Ciało, wstępuje w górę jego dusza,
A w dole miejsce jest duszy bydlęcej?

56. Doczesne wszystko i wszystko jest marne,
Rozkosz nie syci, praca próżno trudzi,
I nieświadomość klątwą wszystkich ludzi —
A któż odgadnie, czem jutro ciężarne?

*

57. Widziałem pychę, zbrodnie i potwarze,
Łzy uciśnionych, mrących bez pomocy,
I żądnych światła pogrążonych w nocy,
I splugawione widziałem ołtarze!

58. A żaden nie wstał cierpiących obrońca,
Ani kto pomścił shańbione świątynie,
Żyje bezbożny, sprawiedliwy ginie,
A równo obu świeci tarcza słońca!

59. Więc sprawiedliwość pustem słowem jedno,
A łez rozlanych w górze nikt nie liczy;
Łańcuchem cierpień ten żywot pątniczy —
A tam przed nami — ciemności bezedno!

60. Przeto — iż boleść ziemi syna chlebem —
Więcej umarłe, niźli żywe chwalę,
A najszczęśliwszy niezrodzony wcale,
Co jeszcze złego nie widział pod niebem!

Jerzy Żuławski.

A jednak — — wielka jest różnica między zwątpieniem ludzi dawnych, a wątpieniem dni dzisiejszych:

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem...

powiada Kazimierz Tetmajer najsilniej może i najszczerzej czujący z naszych młodych poetów polskich.

I jeszcze jedno... Król Salomon zwątpił o wszystkiem i wszędzie zło znalazł, — nie zwątpił jednak o samym sobie. Nad padołem łez, płaczu, marności i nędzy duch jego unosił się jak orzeł — i czuł, że jest wyższy, silniejszy, nad to, czem gardził i nad czem się litował. A dziś?... Dziś wątpimy przedewszystkiem o samych sobie... Widzimy nieraz, że świat jest piękny, że nie wszystko na nim złem jest i marnością, ale — czujemy równocześnie swą własną niemoc, swą marność, która, jak rak na dnie własnej naszej duszy zagnieżdżona, toczy nam serca i mózgi...

Jak do pozazdroszczenia szczęśliwszym był król Salomon!

„Dwie są bowiem melancholie, jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.“

Nasza melancholia — zdaje się — jest... tą drugą... (Przypisek autora.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Wiedeńska.

(Namiestnik czeski a Młodoczesi. — 463 Wychodźców do Brazylii. — Wieczory mazurowe. — Nowa premiera w Carl-Theater i Zimajerowa).

6. stycznia 1896.

Wewszystkich krajach koronnych Austryi odbywają się teraz sejmy krajowe. Gorące debaty trwają już od kilku dni w Czechach, gdzie urządza się ze strony młodoczeskich posłów formalna walka przeciwko Namiestnikowi hr. Thunowi. Chwycił i on „żelazną ręką“ za rządy w Pradze, ale Czesi nie chcą na to pozwolić. Hrabia Thun, inspirowany przez Prezydenta ministrów Badeniego, chciał porobić ze swojej strony pewne ustępstwa, ale ustępstwa te zostały odrzucone i z całą konsekwencyą stawia się żądanie: dymisya Namiestnika. Jest to w każdym razie zawiść osobista do osoby hr. Thuna, ale zawiść ta tworzy kwestyę austryacką. Dla hr. Badeniego wyłania się z tego następująca kwestya: Jeżeli zechce zatrzymać hr. Thuna pomimo opozycyi w Sejmie, to postąpi wbrew swoich układów z partyą umiarkowaną Czech i straci widoki na przeprowadzenie ugody Czechów z Niemcami. Jeżeli zaś zezwoli na jego upadek, w takim razie straci na opinii „człowieka który prowadzi“, a jakim być zamierzał. Hrabia Thun upiera się przy stanowisku namiestnika Czech nietyle z ochoty do urzędowania ile z moralnego przymusu, jako przywódzca stronnictwa konserwatywnego i feudalnej szlachty. Jest on pewnego rodzaju t r a g i c z n y m c h a r a k t e r e m, ale zapomina o tem, że losem takich charakterów bywa zawsze upadek.

Poseł Rutowski narobił wiele hałasu w „Kole polskiem“ emigracyą chłopów galicyjskich do Brazylii, i podejrzywał dra. Kłobukowskiego o rozmaite dwuznaczne sprawy. Spostrzegłszy, że za daleko zaszedł, cofnął się i po części to, co mówił, odwołał w artykułach o gorączce brazylijskiej, ogłoszonych w „Przeglądzie“. Były one doskonale i fachowo napisane, ale nic nowego nie wypowiadały, odwołując się do opieki kraju i państwa nad ludem uciekającym przed śmiercią głodową. W parlamencie postawiono wnioski o obostrzenie przepisów w sprawie emigracyi, a stawiali je dr. Rutowski, hr. Piniński, Lewicki, Wielowiejski i ks. Chotkowski. Wszystko to nie zatrzymuje jednak dalszego wyjazdu chłopów, a przedewszystkiem nie daje im jeść w kraju. Przeciwnie, wystąpieniem swojem spowodował dr. Rutowski rozwiązanie stowarzyszenia Św. Rafała, i teraz jedzie chłop bez najmniejszej dyrektywy i opieki, a w drodze do Wiednia już jest przez ajentów tak oskubany, że dostaje się do Brazylii jako b i a ł y n i e w o l n i k. Ajenci każą sobie płacić „Schiffskarty“ pomimo, że kart tych udziela darmo rząd brazylijski. Wiele g a d a ć i psuć umiemy, ale konsekwentnie poratować swoich nie chcemy. Dowodem tego ponowny transport emigrantów w liczbie 463, którzy w Tarnopolu pod koła pociągu rzucić się chcieli, kiedy im starosta nie pozwolił na wyjazd. Dopiero wdanie się b. ministra Jaworskiego położyło koniec tej tragedyi i emigranci w tych dniach przyjechali do Wiednia. Czekają tu na dalszy transport żywego towaru, a tymczasem snują się polscy wychodźcy jak mary, na pół omdlali, koło dworca kolei południowej, gdzie o ś m domów emigracyjnych rozbiło swoje namioty. Kiedyż, Boże mój, chłop polski i rusiński przestanie być uważanym przez swoich posłów za bydło?!

W Wiedniu karnawał się już rozpoczął na dobre. Towarzystwa polskie „Strzecha“ i „Biblioteka polska“ krzątają się koło tańców i pikników. „Komitet wieczorów mazurowych“ również rozesłał zaproszenia, zredagowane w tym roku wreszcie p o p o l s k u. Uważam jednak cenę wstępu stanowczo za wysoką: bilet 3 guldeny od osoby, — familijny 8 guld., na wszystkie trzy wieczory 20 guld. Narzekamy tak strasznie na biedę, a jak hulać, to zawsze potrafimy gdzieś te pieniądze wyszukać!

Teatr Karola, podniesiony wysoko przez dyrektora Jauera i najlepiej w obecnym sezonie zwiedzany przez publiczność, wystawił w tych dniach nową operetę angielską Gilberta z muzyką O. Carra p. t. „Gubernator“. Treść dość zabawna opowiada o złośliwym gubernatorze jakiejś tam wyspy, który z nudów różne figle wymyśla dla poczciwych mieszkańców; figle te naprawia i łagodzi szlachetny książe, przybyły incognito na wysepkę. Książe, uważany przez gubernatora za artystę dramatycznego, w końcu daje się poznać i degraduje gubernatora, który z jenerała zostaje prostym żołnierzem. Do tej treści dorobiono masę śpiewów i tańców szkockich, a doskonała gra artystów i znakomita reżyserya spowodowały entuzyastyczny aplaus publiczności. Z grających wysunęła się znowu na pierwszy plan Zimajerowa, która w charakterystycznej roli bogatej starszej panny jest wprost wyborną. Wskrzesiła ona na nowo te zalety, które już dawno, bo od śmierci Galmajerowej i ustąpienia ze sceny Finali, przeszły w zapomnienie albo w karykaturę. Pełna gracyi, swobody i pikanteryi w grze i śpiewie, ma nasza artystka powodzenie ogromne tak u publiczności jak i krytyki, podziwiającej jej talent i inteligencyę.

Mieszkający stale w Wiedniu rzeźbiarz L e w a n d o w s k i skończył naturalnej wielkości figurę p. t. „Z n i w i a r k a“ i wysłał ją na konkurs rzeźbiarski do Warszawy. Figura ta bardzo naturalnie pojęta przedstawia młodą kobietę z okolic Krakowa przy żniwie. W prawej ręce trzyma ona sierp, a w lewej „garść“ pszenicy, którą dopiero co użęła. Studya do tej figury poczynił p. Lewandowski w lecie w Bronowicach pod Krakowem. Figura jest pełna życia i realizmu, nie wpada przecież w trywialną przesadę.

Xi.

Listy z Belgii.

I.

(*Nowy uniwersytet*).

Od dwóch lat funkcyonuje w Brukseli Instytucya, która ze wszech miar zasługuje na obszerniejszą wzmiankę niż ta, jaką nam pozwalają skreślić szczupłe ramy niniejszej korespondencyi: mówimy o Nowym Uniwersytecie brukselskim i przyłączonym do niego Instytucie wyższych studyów (Institut des hautes Etudes). Przypomnijmy okoliczności jakie towarzyszyły założeniu tego dzielnego i sympatycznego zakładu. Od lat 60 istniał w Brukseli stary uniwersytet t. zw. „Uniwersité libre“ założony przez Verhoegen'a, który w dziele swem widzieć chciał przybytek nauki niezależnej z jaknajwiększem zastosowaniem zasady wolnego badania (principe du libre examen). Przez parę dziesiątków lat Uniwersytet stary spełniał zadanie, zakreślone przez swego założyciela; powoli jednak czasy owe przeszły do tradycyi, a Uniwersytet, którego Rada administracyjna zmonopolizowaną została przez żywioły konserwatywne, zdoktrynerowany został do gruntu. Taki stan rzeczy przygotowywał powoli coraz energiczniejsze objawy protestu ze strony bardziej niezależnych profesorów i studentów, które wyrodziły się w burzę w lutym 1894 r. Bezpośrednim powodem tej burzy było zawieszenie przez Radę administracyjną dla przyczyn, nie mających nic wspólnego z nauką, wykładu geografii porównawczej Elizeusza Reclus. Znaczna część studentów założyła protest przeciw temu barbarzyńskiemu rozkazowi; pomiędzy profesorami wielu stanęło po stronie studentów, a rektor uniwersytetu Hector Denis podał się do dymisyi, nie chcąc nadal stać na czele instytucyi. Po zakończeniu wypadków lutowych grono poważnych i niezależnych uczonych przedsięwzięło wykonanie dzieła, które ze względu na olbrzymie trudności wydawało się podówczas prawie niewykonalnem: szło o założenie nowej wszechnicy, która przyjmując dawne tradycye zgnuśniałego dziś starego uniwersytetu, miała być nieskalaną świątynią nauki, wzniesioną na wspaniałych fundamentach zasady wolności badania. W ciągu miesiąca zebrano przeszło 60 tysięcy franków i założono dwa, na początek, fakultety, prawny i filozoficzno-literacki, z bogatem i uczonem ciałem profesorskiem. Dziś do tych dwóch wydziałów zdołano dodać fakultety medyczny oraz fiz.-matematyczny i przyrodniczy, szkołę politechniczną i Instytut wolny wyższych studyów! Skompletowany w ten sposób uniwersytet uzyskał dla wychowańców swoich wszystkie prawa, z których korzystają studenci innych uniwersytetów belgijskich, czyli tak ważny ze względów praktycznych przywilej na formowanie adwokatów, lekarzy, nauczycieli fizyki, matematyki i przyrody oraz inżynierów. Jakże różni się jednak nowy zakład od innych „Uniwersytetów“ belgijskich, które dziś śmiało nazwać można wyższemi szkołami profesjonalnemi. Oprócz wykładów, narzuconych przez regulaminy prawne, znajdzie tu młodzieniec szukający obok banalnego wykształcenia profesyonalnego — prawdziwej i niezależnej wiedzy, szereg wykładów, pozwalających mu zoryentować się jaśniej w całym obszarze wiedzy współczesnej, i jednocześnie wyspecyalizować się w pewnej ciaśniejszej gałęzi nauki, znajdzie je w przyłączonym do uniwersytetu „Institut des hautes Etudes“. Aby dać pojęcie o siłach profesorskich Nowego Uniwersytetu wystarczy nam zaznaczyć, że katedrę socyologii obejmuje Guillaume de Greef; katedrę encyklopedyi prawa i prawa cywilnego Edmund Piccard: katedrę geografii Elisée Reclus; pedagogię wykłada Paul Robin, b. dyrektor zakładu dla sierót; kryminologię socyologiczną Enrico Ferri, prof. uniw. w Rzymie; historyę literatury Camille Lemonnier, Georges Ekhoud i wielu, wielu innych. Ciało profesorskie przechodzi dziś liczbę stu uczonych — fakt tem bardziej godny zaznaczenia, że szczupłe fundusze instytucyi nie pozwalają jej na odpowiednie wynagradzanie tych ludzi, ofiarujących na usługi studentów swą wiedzę; większość profesorów wykłada zupełnie bezinteresownie.

Szybkość z jaką rozwija się Nowy Uniwersytet brukselski udowadnia niezbicie jego żywotność i prawo bytu i sprawdza w zupełności słowa, jakie wypowiedział Edmund Piccard w artykule umieszczonym niedawno w „Société Nouvelle“: „Nowy uniwersytet brukselski jest wytworem potrzeb współczesnej ewolucyi społecznej“.

M. H.

Z estrady i sceny.

(Wieczór Fredrowski).

Zdawało mi się, że wieczór Fredrowski stanie się obrazem talentu, przekazanego prawem dziedziczności z ojca na syna i wnu-

ka. Przypuszczenie okazało się mylnem — publiczność spoglądała na obraz stopniowego bankructwa talentu, — na miljonera, który w drugiem pokoleniu przedstawił się jeszcze jako zamożny obywatel, w trzeciem natomiast zstąpił w niziny, gdzie godłem jest pusta sakiewka. Fredro-wnuk nie dorósł do kostek ojca, nie dorósł nawet do kolan syna, lubo po kilku udatnych wierszykach, zaprezentowanych publiczności, zdawać się mogło, że iskra talentu nie zgasła w trzeciem pokoleniu. Jako liryk dowiódł Fredro-wnuk pewnej zręczności artystycznej, jako komedyopisarz nie zdradził żadnych zdolności. Jego utwór jednoaktowy, zaopatrzony interesującym tytułem „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, jest produktem z góry powziętej tezy satyrycznej, skierowanej przeciw naukowej emancypacyi rodzaju żeńskiego. Przyznaję tendencyi i satyrze prawo obywatelstwa na scenie, ale teatralny Juvenal bez poczucia prawdy i sprawiedliwości, bez dowcipu i zmysłu scenicznego niesmak tylko zbudzi. Utwór hr. Fredry-wnuka nie jest satyrą, lecz pamfletem najniższego gatunku. *Furor satiricus* wykrzywił do tego stopnia zmysł obserwacyi u początkującego autora, że nawet typy spotykane na kartach „Fliegende Blätter“ odznaczają się mniej karykaturalną charakterystyką. Gdybym był najzacietszym wrogiem emancypacyi kobiecej, opuszczałbym teatr z uczuciem żalu i rozczarowania, bo wstydziłbym się przeciwników moich, że tak niesmacznie walczy mój obóz w obronie swoich sztandarów. I rumieniłbym się zaiste, gdyby emancypantka jaka spojrzała mi w oczy, pytając z ironicznym uśmiechem: „Gdzież to wnuk Fredro zbierał wzory swoje? Gdzież widział chociaż dalekie podobizny swoich kobiet-adwokatów i lekarzy? Gdzież obserwował operetkowe stosunki, których obraz rzucił w „Stowarzyszeniu“ na scenę? Jakże słabym być musi arsenał argumentów waszych, jeżeli fajerwerkami pamfletu przeciw nam walczycie?!“

A gdybyż przynajmniej humor i zręczność sceniczna były ekwiwalentem krzyczącego fałszu. Ale dowcip hr. Fredry-wnuka jest płaski, budowa sztuki zlepkiem rozlicznych kawałów i kawałków, węzeł intrygi źle zadzierzgnięty, finałowy tryumf autorki 365 obiaców nad idyotycznym lekarzem i adwokatem w spódnicy mdły i banalny. Taka napaść nie ośmiesza emancypacyi, ośmiesza tylko autora. Gdy Fredro-syn rozpoczął karyerę sceniczną nikłym drobiazgiem p. t. „Przed śniadaniem“, krytyka przyjęła utwór ozięble, lecz była bądź co bądź w tym utworze jakaś drobna iskierka, która później w „Drzemce pana Prospera“ i „Consilium facultatis“ jasnym wystrzeliła płomieniem. U Fredry-wnuka napróżno szukam nadziei, że z czasem wstąpi w ślady dziada i ojca.

Wykonanie jednoaktowej premiery na scenie naszej nawet skromnym wymaganiom zadość uczynić nie mogło. Sztuka toczyła się jak ciężki wóz po małomiejskim bruku. Dyalog urywał się i haczył, a były chwile, w których artyści zdradzali widoczny ambaras, co począć z swojemi figurami. Na wyszczególnienie zasługuje jedynie gra panny Vernon.

Korzystniej natomiast przedstawiały się dwa inne utwory literackiej rodziny: Znakomicie zbudowane i mistrzowskie w charakterystyce „Dwie blizny“ Fredry-ojca i na nieprawdopodobnem założeniu oparta, ale nie pozbawiona życia i humoru „Posażna jedynaczka“ Fredry-syna. Znam jednak wśród jednoaktowych komedyi drugiego pokolenia Fredrów niejeden utwór, przewyższający znacznie pod względem scenicznej wartości „Posażną jedynaczkę“.

Z artystów Fredrowskiego wieczoru odznaczył się p. Królikowski wyrazistością charakterystyki i niepospolitym humorem w roli litewskiego szlachcica, a w „Dwóch bliznach“ zjednała sobie zasłużone oklaski wojskowa sprężystość i stylowość pana Knapczyńskiego w roli kapitana, oraz dobrze pojęta i odczuta, choć gdzieniegdzie chropowata gra p. Grabowieckiego w roli wywiedzionego w pole dyplomaty. W „Posażnej jedynaczce“ rozwinęła pani Majdrowiczowa wiele sympatycznej, rzadko u tej artystki spotykanej filuteryi; pani Jakubowska była świeżą jak kwiat wiosenny, swobodną, naturalną amazonką z leśniczówki. *W. R.*

Na Wyłomie.

(Jeszcze o jubileuszu p. Dobrowolskiego. — Powitanie Górnoszlązaka. — Trzeźwość czy romantyzm?)

Że sala Bazarowa w dzień jubileuszu p. Dobrowolskiego wywierała wrażenie wielkiej cukrowni, to nikogo, najzaciętszego nawet wroga, dziwić nie powinno. Gdy dwoje staruszków obchodzi złote wesele, to przecież żaden z mówców jubileuszowych nie wygłosi takiej oracyi:

„Przezacna paro! Przez lat 50 kłóciłaś się z sobą aż miło! Ty zacny jubilacie lubiłeś nocne hulanki, ty matrono jubileuszowo zamykałaś drzwi szczelnie, gdy przyjaciel domu wchodził do mieszkania. Ponieważ jednak mimo wszelkich „ale“ wychowałaś dzieci wzorowo, ponieważ dom wasz stanowił ognisko życia towarzyskiego, ponieważ sprawie publicznej składaliście nieraz ofiary z trudów i mienia, zatem dziś w dzień złotego wesela my puchar na cześć waszą spełniamy.“

Przemówienie takie byłoby może prawdziwem i sprawiedliwem, lecz na festynie złotego wesela to mucha w rosole.

W samej istocie obchodów jubileuszowych tkwi pewna jednostronność. Uroczystość taka nie jest chwilą rzeczowego obrachunku z wszystkich plusów i minusów ukoronowanej złotym lub srebrnym wieńcem jednostki, — lecz jedynie ostentacyjnem sumowaniem zalet jubilata. Z chwilą, gdy przestępujemy próg sali jubileuszowej, zostawiamy za drzwiami wraz z laską i paletotem objektywny krytycyzm, i spełniając toast uroczysty, pamiętamy jedynie o tem, co mianem zasługi w długim żywocie bohatera dnia nazwać się godzi.

Więc cukrowe potoki płynące w ubiegłą niedzielę na sali Bazarowej nie zdziwiły mnie wcale. Można było bezstronnie rozpatrywać wady i zalety p. Dobrowolskiego przed jubileuszem, można było w prasie pokusić się o ścisły rachunek z jego czynów, zasobów umysłowych i właściwości moralnych, można wreszcie każdej chwili powołać przed sąd publiczny publicznego człowieka, ale tam na estradzie należało tylko mieć cukier na języku i tylko cukrem karmić jubilata.

Kto na jednostronność zdobyć się nie umiał, kto nie był w stanie wziąć chwilowego rozbratu z objektywnym krytycyzmem, kto wreszcie nie dzielił zapatrywań, że cyfra dodatnich czynów i wpływów jubilata, przeważa cyfrę ujemnych, ten bądź to wcale progu sali Bazarowej nie przestąpił, bądź też zasiadł wśród publiczności jako prosty widz i słuchacz. Byli nawet tacy, którzy uznali potrzebę publicznego oświadczenia, że w żadnej formie w jubileuszu udziału nie brali, gdy jedno z pism niemieckich mylne w tym względzie podało wiadomości. Znalazło się także pewne pismo na poznańskim bruku, które niegrzeczną ręką sięgnęło aż do antenatów (!) jubilata, by zdyskredytować Bazarową uroczystość.

Wyrzekając się oceny takiego postępowania, pragnąłbym tylko zwrócić uwagę na jeden moment jubileuszowej uroczystości — moment charakterystyczny, nie pozbawiony głębszego znaczenia.

Na estradę wstępowali rozmaici mówcy, niektórzy z nich zaliczają się do luminarzy społeczeństwa, niektórzy przemawiali doskonale pod względem formy i treści, — publiczność jednak skąpiła oklasków. Nagle wśród frakowych przedstawicieli najrozmaitszych korporacyi zjawia się skromny człowieczek w skromnym surducie i zalęknionem okiem spogląda na ten świat elegancki, otaczający fotel jubilata. Gospodarz sali prezentuje go widzom: To Górnoszlązak! Zrywa się burza oklasków, z sekundy na sekundę rośnie entuzyazm, słychać okrzyki radości, — na sali robi się ciepło. Wreszcie zapanowała cisza. Górnoszlazak zaczyna mówić. Mówi że przychodzi jak brat do braci, że niesie hołd od ludu górnoszląskiego, przebudzonego magicznem słowem „Ojczyzna“, że pragnie pokłon oddać temu, który na odrodzenie uśpionego ludu przychylnem spoglądał okiem i dużo serca okazał synom zmartwychwstającej ziemi w czasie wystawy poznańskiej. Przybył z Opola, jako wysłaniec towarzystwa polsko-katolickiego, lecz nie jeden związek, jedno miasto, jeden powiat mówi przez niego, — nie, to Szląsk manifestuje, że polskie serce bije w piersiach ludu i umie ocenić zasługi położone koło wspólnej ojczyzny. —

Takie słowa płynęły z ust Górnoszlązaka, a my słuchaliśmy tych prostych, w strojne okresy nie ułożonych wyrazów jak cudownej pieśni. Było to jakieś grzmiące „Alleluja“, pieśń wiosny, pieśń zmartwychwstania. Zdaje mi się, że z takiemi uczuciami wita matka dziecię ukochane, gdy po długim, do śmierci podobnym letargu, budzi się i ręce ku niej wyciąga.

A takie powitanie należało się ludowi Górnego Szląska, bo zawiniliśmy w ostatnich latach nie mało w obec tej ziemi. Nie przypominam tu owego głośnego interwiewu z redaktorem „Börsen-Couriera“, gdzie Poznań wyparł się Szląska, ale prezentuję tylko dzieje pamiętnej wizyty z Bytomia, Opola i Raciborza, złożonej stolicy Księstwa w sezonie wystawy. Poruszono jakieś tajne sprężyny i w imię „wyższej polityki“ zrobiło się dziwnie pusto w około gości naszych. Na sali Bazarowej jednak nie zdążono aplikować publiczności zimnych okładów i Szląsk ujrzał serce w wielkopolskich braciach. Taka chwila łączy i wiąże, — polityka lojalnej abdykacyi odpycha, a dla nas poznańczyków gotuje rządową figę, jak wszystkie inne obiecanki, — „wielkanocne jajka“, okazujące się w rezultacie zbękiem.

Nie wierzę jednak, aby najwidoczniejsze pomyłki i zawody mogły wyleczyć lojalistów naszych. Dyplomacyę „ugody“ ochrzczono u nas mianem trzeźwej polityki, jak wogóle w najświeższych czasach „trzeźwością“ nazywa się wszystko, co stąpa po drodze kompromisów, każde silniejsze drgnienie uczuć narodowych stempluje godłem romantyzmu, każde żywsze „Jeszcze Polska nie zginęła“ i każdy silniejszy protest narodowy chrzci imieniem junakeryi politycznej. A przecież, kto z tą armią ugodowców naszych miewał dłuższe i częstsze rozprawy polityczne, ten musiał dostrzedz symptom trudny do pomieszczenia w pojęciowych ramach „trzeźwości“. Nie byli to po większej części praktyczni politycy, szukający ostrożnie nowego gruntu, lecz najzagorzalsi fanatycy ugody, oślepieni słońcem tronowem, hypnotyzowani wzorem galicyjskiej dyplomacyi. Cóż z tego, że fakt po fakcie zadawał kłam ich marzaniom, cóż z tego, że hr.

Stanisław Tarnowski oświadczył posłom naszym wyraźnie, — a było to w czasie sprowadzenia zwłok Mickiewicza na Wawel — że ślepe naśladownictwo Galicyi musi w naszych stosunkach wyrządzić krzywdę sprawie narodowej i skończyć się bankructwem, — oni rozwinęli żagle lojalizmu, — *Vogue la galère!* płyniemy do Berlina. Był to jakiś rodzaj egzaltacyi, — był to również intenzywny romantyzm z tą tylko różnicą, że dawniejszy nosił miano zasadniczego protestu, obecny zowie się oparciem tronu, trzeźwością, ugodą itp.

Opowiadał mi ktoś o egzystencyi pewnego marzyciela, który wierzył nieuchronnie, że Bismarck Polskę zbawi. Winszował mu zatem rok w rok urodzin, pisał nawet na cześć jego panegiryczne broszury, a gdy nastała era wielkiej kampanii żelaznego księcia przeciw narodowi naszemu, on przykładał palec do nosa i mówił: „Zobaczycie! to wszystko wyższa dyplomacya“ — lub: „On wykonuje tylko rozkazy innych. On musi, choć mu się serce krwawi“. Taka wiara chorobliwa była znamienną cechą całej farsy ugodowej na poznańskim gruncie. Praktyczny polityk bada, szuka, cofa się, awansuje — oni wierzyli, a ich zelotyzm tak był potężny, że miewali nawet widzenia i halucynacye słuchu. Ten zobaczył dobrotliwy uśmiech cesarski, tamten opowiadał cudowne rzeczy o uroczystych obietnicach rządowych, jednem słowem szli dalej i dalej w galopowem tempie jak ludzie dotknięci manią religijną gonią nieraz widma aniołów, słyszą kuszące wołania Chrystusa i giną na bagnach lub w głębinach jeziora.

Trzeźwość? W zastosowaniu do polityki wyraz ten oznacza taką dyplomacyę, w której pierwiastek rozumowy króluje nad porywami uczucia, która nie jest krępowaną żadnym z góry powziętym dogmatem politycznym, która wszystko dokładnie oblicza, transakcye gwarantuje ściśle po kupiecku i nie mogąc zdobyć milionów, kontentuje się dziesiątkami, z tym tylko warunkiem, aby zdobycz ta była rzeczywistym, nie pozornym zyskiem. U nas miano trzeźwości przywiązano do pewnej *zasady* politycznej, — trzeźwość identyfikowano z lojalizmem — kto nie wierzył w jutrznię łaski tronowej i nie uznawał bezwzględnego posłuszeństwa wobec życzeń rządowych, nawet z zaparciem narodowej godności, ten nie miał prawa zaliczać się do grona trzeźwych. I tak powstała u nas cała armia polityków, szczycących się tym tytułem, lubo nie zimny rozsądek lecz marzycielska wiara, nie ostrożny sceptycyzm lecz aprioryczny dogmat, nie handlowa ścisłość i przezorność, lecz kredyt lekkomyślny, nie dorobek narodowy, lecz straty materyalne i moralne były charakterystyczną cechą całej t. zw. akcyi ugodowej.

I niechaj nikt się nie łudzi, że prądy te dziś do umarłych zaliczyć można. Jeden i drugi trzeźwiejszy opuścił kadry lojalne, — większość jeszcze wierzy, jeszcze się łudzi, jeszcze wygląda „Wielkiejnocy“. Cóż, że nadzieje tylokrotnie zawiodły? Rzuć im słowo, że polityka ugodowa zbankrutowała, — oni odpowiedzą z uporem fanatyków: „Otwieramy handel powtórnie, a jutro... jutro... zobaczycie!“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Tołstoj o kwestyi polskiej.** Hr. Tołstoj, uproszony przez jednego z literatów o napisanie wstępu do broszurki mającej wyjść po za granicami Rosyi pod tytułem „Ideały religijno-polityczne narodu polskiego“, uczynił zadość życzeniu, a w swem artykule potępia stanowczo i z najwyższem oburzeniem postępowanie władz rosyjskich z Polakami.

Artykuł ten, który ze względu na stanowisko autora w społeczeństwie rosyjskiem i w literaturze europejskiej ma wielką doniosłość moralną, podajemy poniżej w skróceniu.

„Te straszne gwałty, jakich się dopuszczają dzikie, głupie i okrutne władze rosyjskie nad wiarą i językiem Polaków, wystawiane są jako dowód patryotycznej działalności. Lecz ja tego nie widzę. Dla tego, aby się na te gwałty oburzać i przeciwko nim ze wszech sił występować, nie trzeba być ani Polakiem, ani patryotą, lecz tylko chrześcianinem.

„W danym wypadku, ja naprzykład, nie będąc wcale Polakiem, gotów jestem iść w zawody z każdym Polakiem co do stopnia wstrętu i oburzenia na te głupie środki rosyjskich figur rządowych, jakich one używają przeciwko wierze i językowi Polaków; również gotów jestem iść w zawody co do chęci przedziwdziałania tym środkom i to nie dla tego, ażebym kochał katolicyzm więcej, jak inne wiary, lub język polski więcej, jak inne języki, lecz dla tego, że staram się być chrześcianinem“.

Kronika powszechna.

— **Z pracowni rzeźbiarzy polskich w Berlinie.** Władysław Marcinkowski kończy obecnie w Berlinie większych rozmiarów dzieło, przeznaczone do katedry gnieźnieńskiej. Są to 4 prawie naturalnej wielkości figury klęczące, przedstawiające typy polskie w strojach zastosowanych do epoki, z której pochodzi sarkofag św. Wojciecha — rycerza, mieszczanina, kapłana i chłopa. Figury te pomyślane są jako podstawa pod sarkofag ze szczątkami patrona katedry gnieźnieńskiej. Sarkofag będzie spoczywał na ramionach figur, które wraz z pierwszym wykonane będą w metalu i srebrzone. Figury rycerza i mieszczanina już zupełnie skończone i odlane w gipsie, dwie drugie figury już na dokończeniu. Znakomicie udało się artyście uchwycić typowość każdej postaci: a we wszystkich uderza wielka powaga. Całość na widzu robi niesłychanie podniosłe wrażenie, a już z tego, co obecnie jest wykończonem, przewidzieć łatwo, że dzieło Marcinkowskiego godne jest miejsca historycznego, w którem ma stanąć. Że i w szczegółach uderza nadzwyczajna staranność, — tego o rzeźbach Marcinkowskiego nie potrzeba dodawać.

Na jedno wszelako warto zwrócić przedewszystkiem uwagę; we figury swoje artysta umiał wlać duszę. Tak w ruchu rąk jak i wyrazie twarzy znać dziwne przejęcie się i rozmodlenie. A mimo tego sharmonizowania wszystkich figur do jednego nastroju, — każda wyraża się indywidualnie, każda posiada sobie właściwe życie.

Oprócz tego Marcinkowski pracuje nad pomnikiem dla śp. ks. Kanteckiego, przeznaczonym do kościoła w Strzelnie. Pomnik będzie z kamienia. Skończone też już są 2 płaskorzeźby, które wykonane będą z marmuru, i to medalion portretowy byłego prezesa Koła Polskiego Wł. Taczanowskiego do kościoła w Mieszkowie i wielka płaskorzeźba portretowa z dwoma postaciami kobiecemi, jedną w siedzącej, drugą w stojącej postawie. Płaskorzeźba ta technicznie należy do najlepszych prac Marcinkowskiego, nie mówiąc o uchwyceniu porywającego czaru i dystynkcyi kobiet portretowanych. Ostatnią tę pracę artysta przeznacza na wielką wystawę berlińską.

Spostrzegliśmy także na sztalugach w pracowni dwie miniaturowe rzeźby: relief przedstawiający Chrystusa pośród dziatek, a z dwóch stron zakonnice, uczące i pielęgnujące chore dzieci, oraz grupę przedstawiającą biedną matkę z dwojgiem maleńkich. Artysta zapytany o przeznaczenie tych rzeźb z uśmiechem odparł: „To moje wolne chwile“. Łatwo się było domyślić, że te wolne chwile poświęcone były filantropii.

* * *

— **U Gurlitta** w Berlinie znajdują się 4 rzeźby p. Franciszka Flauma, ziomka naszego, (rodem z Poznania) który po dłuższych studyach w Paryżu osiadł na stałe w stolicy niemieckiej. Tytuły rzeźb są następujące: 1. Na skale, 2. Pokusa, 3. Tęsknota, 4. Ewa i Abel. Krytyka berlińska wydała nader pochlebną opinię o utworach rodaka naszego.

* * *

Wiadomości społeczne i polityczne. Sprawa transwalska stanowi w dalszym ciągu interesującą *question du jour*. Zaostrzył ją telegram cesarza Wilhelma, winszujący prezydentowi Krügerowi zwycieztwa nad angielskimi napastnikami. W Anglii wzburzenie rośnie z dnia na dzień. Najświeższe telegramy donoszą o mobilizowaniu armii lądowej i floty. Manifestacye przeciw Niemcom przybrały wielkie rozmiary. — Położenie Hiszpanów na Kubie pogarsza się bezustannie Powstańcy odnoszą jedno zwycieztwo po drugiem Marszałek Martinez Campos zamierza złożyć dowództwo. — Łagodny wyrok sądów niemieckich, wydany w sprawie potwornego barbarzyństwa, którem w Kamerunie popisywał się asesor Wehlau, spowodował ostrą krytykę wolnomyślnych czasopism niemieckich. Prokurator założył apelacyę. — Po długich konferencyach pomiędzy hr. Badenim a węgierskimi ministrami Banffym i Perczelem postanowiono sprawę Morskiego. Oka oddać pod uznanie sądu rozjemczego. Uchwała ta jest niepokojąca. Zależy wszystko od tego, komu oddany będzie sąd rozjemczy i jakie stanowisko wobec sądu zajmie rząd austryacki. — Hamb. Nachr. proponują ni mniej, ni więcej, tylko odebranie socyalistom prawa wyborczego. Coraz lepiej! — Petersburski dziennik „Swiet“ obstaje za utrzymaniem przy uniwersytecie warszawskim katedry literatury polskiej i proponuje nadto założenie katedr takich przy innych uniwersytetach rosyjskich. W motywach tej propozycyi ukazuje się pazur moskiewski. Autor oświadcza bowiem, że znajomość literatury polskiej nie jest potrzebna dla Polaków, lecz dla Rosyan, w celu pilnego badania wrogiego piśmiennictwa, mianowicie historycznego i politycznego.

* * *

Teatr i muzyka. W najbliższy czwartek, 16 bm. odegranym będzie „Towarzysz pancerny“, komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego. Sztuka ta uzyskała w roku ubiegłym pierwszą nagrodę na konkursie wydziału krajowego we Lwowie. Autor, znany literat i publicysta, a obecnie dyrektor teatru łódzkiego, pozwolił chwilowo, w skutek nieporozumień z dyrekcyą poznańską, tylko na jednorazowe przedstawienie sztuki, i zapowiedział przyjazd swój na premierę do Poznania. Wyrażamy nadzieję, że publiczność przez wzgląd na utwór premjowany i zasłużonego około sceny naszej beneficyanta, wypełni teatr po same brzegi. — W czwartek ubiegły wznowiono na scenie poznańskiej starą komedyę Wiktoryna Sardou p. t. Odetta. Z artystów występujących zdobyli sobie gorące uznanie p. Skirmunt (beneficyant) oraz panna P...szkowska i Ogińska. — Władysław Mierzwiński wystąpi po dłuższej pauzie, spowodowanej nadwątlonem zdrowiem, na warszawskiej scenie. — W teatrze łódzkim ma być przedstawioną sztuka Daniela Zglińskiego p. t. Mściciel. — Karol Brzozowski napisał dramat „Joanna Neapolitańska“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pasek. Dziękujemy za wycinek, — ale dłuższej polemiki nie warto poświęcać Kuryerowej farsie, uzasadnionej nadomiar nieudolnie, iście po twarranersku, nie chcąc silniejszego użyć wyrazu. Katolicyzm a klerykalizm to dwa odmienne pojęcia, lecz interes Kuryera wymaga, aby oba słowa identyfikować i na podstawie takiego pomieszania teroryzować społeczeństwo. Peine perdue! My dobrze czuwamy i drwimy sobie wraz z lepszą częścią społeczeństwa z trzaskających karmelków Kuryera Poznańskiego.

W. D. Niech pan się zgłosi do dyrekcyi teatru poznańskiego. My w tej sprawie pośredniczyć nie możemy. — 2) Wiersz nadesłany jest nacto o odbistej natury, by w łamach „Przeglądu“ umieścić go można, posiada jednak ustępy prześliczne. Prosimy o dalsze współpracownictwo.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.